



***ANNE MARIE  
DUQUETTE***



***Ocalony przez  
miłość***



## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

- Stewardesa! Nie mogę wprost uwierzyć, że przyjąłeś jakąś głupią stewardesę! - zagrzemiał nieznajomy męski głos.

Andrea Claybourne zawrzała gniewem na tę obraźliwą uwagę. Poprawiła spódnicę i założywszy nogę na nogę, zaczęła uważnie przysłuchiwać się głośniejszej wymianie zdań, dobiegającej przez otwarte drzwi z biura dyrektora administracyjnego, Jima Stevensa. Nie widziała rozmówców, ale świetnie ich słyszała.

- Teraz używa się określenia asystentka pokładowa - odparł spokojnie Jim.

- Nazywaj ją jak chcesz, ale zlituj się nade mną. - Nieznajomy mężczyzna nie zadał sobie trudu, by zniżyć głos. - Nie sądzisz chyba, że będę szkolił kobietę, która przez ostatnie pięć lat zajmowała się tylko mieszaniem koktajli i robieniem sobie makijażu!

Andrea zagotowała się z wściekłości słysząc tę zniewagę. Mimo woli dotknęła ręką twarzy i czekała na odpowiedź Jima.

- Andrea Claybourne zna się nie tylko na mieszaniu koktajli. Pracując w liniach lotniczych, jednocześnie się doksztalała. Jest dyplomowaną sanitariuszką.

- Sanitariuszka, która nie ma doświadczenia, nie nadaje się na strażnika - protestował nieznajomy. Andrei nie podobał się jego szorstki, pełen niechęci głos. - To jest Wielki Kanion, Jim, a nie komfortowa kabina samolotu! Latem ten park zwiedza ponad czterdzieści tysięcy turystów dziennie! Wiesz, ilu trzeba potem odwozić helikopterem do szpitala. W czasie normalnej zmiany mamy sześć, siedem przypadków poważnych obrażeń ta kobieta sobie z tym nie poradzi.

Andrea pomyślała ze smutkiem o katastrofie lotniczej którą przeżyła przed dwoma miesiącami. Potrafię sobie poradzić z niejednym, drogi panie. Posłuchaj, Kurt... - zaczął pojednawczo Jim.

A więc przyjemniaczek ma na imię Kurt.

- ... zapewniam cię, że Andrea Claybourne ma odpowiednie kwalifikacje do tej pracy.

Andrea usłyszała głośnie prychnięcie i szelest papierów.

- Z jej podania nic takiego nie wynika. Widzę jedynie jakiś kurs medyczny i krótką praktykę w wojskowym szpitalu Fitzsimmons. Nie ma pojęcia o pracy strażnika ani doświadczenia w udzielaniu pomocy medycznej.

I znów jest pan w błędzie, sprostowała w myślach Andrea. Mam doświadczenie i zdobyłam je bardzo ciężko.

Wciąż jeszcze czuła zapach paliwa z rozbitego samolotu i słyszała wołanie o pomoc rannych pasażerów. Pamiętała, jak raz po raz przywoływała z całych sił Dee. Jednak jej najlepsza przyjaciółka nie mogła przyjść z pomocą w ewakuacji rannych, ponieważ, jak na ironię losu, sama była ofiarą - śmiertelną ofiarą katastrofy. Kokpit wraz z załogą leżał po drugiej stronie pasa startowego. Andrea zdana była na własne siły.

Zdążyła ewakuować wszystkich pasażerów. Wyszła cało z katastrofy i postanowiła rozpocząć nowe życie. Złożyła wymówienie, wystawiła na sprzedaż dom odziedziczony po ciotce i napisała nowe podanie o pracę, co poważnie zaniepokoiło jej rodziców.

- Andreo, czy jesteś pewna tego, co robisz? - pytali raz po raz. - W końcu przepracowałam w liniach lotniczych pięć lat.

- I od dwóch rozglądam się za czymś innym. Dlatego właśnie wróciłam do książek.

- Myślałam jednak, że chcesz pracować w tutejszym szpitalu - zauważyła z niepokojem matka. - Arizona jest bardzo daleko! Nigdy nie wspominałaś, że chcesz zostać strażnikiem parku narodowego.

Rzeczywiście, nie wspominała o tym. W bardzo osobliwy sposób znalazła się przed biurem kadr w Wielkim Kanionie... Można by to nazwać przeznaczeniem.

Ostatnim uratowanym przez Andree pasażerem była dziewięcioletnia dziewczynka o imieniu Emilia. Leciła sama z Denver do Wielkiego Kanionu, żeby spędzić wakacje z dziadkami.

Mała pasażerka była urocza i opieka nad nią sprawiała Andrei prawdziwą przyjemność. Aż do chwili, gdy ranną dziewczynkę wyjęto z jej ramion i ułożono na noszach.

Andrea nie odstępowała Emilki nawet na krok, pojechała z nią karetką na ostry dyżur, a później odwiedzała często w szpitalu dziecięcym w Denver. Jak to zwykle bywa z dziećmi, Emilka prędko wróciła do zdrowia, zapominając o ciężkich przejściach. Bardzo żałowała, że planowana wycieczka do Wielkiego Kanionu nie doszła do skutku i uroczyście oświadczyła Andrei, że w każdej chwili jest gotowa wsiąść do samolotu, byle tylko spotkać się z ukochanymi dziadkami.

Andrea podziwiała odwagę dziewczynki i jej przywiązanie do rodziny. Chcąc złagodzić rozczarowanie z powodu niedoszłej podróży, kupiła jej książkę o Wielkim Kanionie. Przy okazji natrafiła na ogłoszenie w gazecie, w którym oferowano pracę w strażnicy parku.

Pod wpływem nagłego, niezrozumiałego impulsu Andrea złożyła podanie, w nadziei że zostanie przyjęta na jedno z dziesięciu wolnych miejsc.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej pragnęła tej pracy. Potrzebowała zmiany, ucieczki od nużącej monotonii rodzinnego miasta. Gotowa była pracować wszędzie, byle nie w Denver. Najmniej uśmiechała jej się praca w zamkniętym pomieszczeniu. Dość już miała ciasnych kabin samolotowych. A jednak w głębi duszy nie wierzyła, że jej podanie zostanie przyjęte.

Ku zdziwieniu Andrei, dyrektor administracyjny Jim Stevens, po krótkiej rozmowie telefonicznej poprosił ją o przyjazd.

- Czy pani jest tą samą Andrea Claybourne, która przed kilkoma miesiącami ewakuowała pasażerów z płonącego samolotu na lotnisku Stapleton? - brzmiało pierwsze pytanie.

- Tak, to ja. Skąd pan wie?
- Głośno było o tym w prasie ogólnokrajowej, pani Claybourne.
- Ach tak... Nie śledziłam wiadomości po wypadku. Panowało wtedy zbyt wielkie zamieszanie i Andrea, opłakując śmierć Dee, nie

miała do tego głowy. Dee była jej niezwykle bliska. Razem się wychowywały, razem chodziły do szkoły, a potem pracowały wspólnie w tych samych liniach lotniczych. Jak papużki nierozłączki, zwłaszcza że Andrea była jedynaczką, a Dee miała samych braci. Śmierć przyjaciółki okazała się wielkim ciosem.

- To zrozumiałe - odparł ze współczuciem Jim. - W każdym razie czytałem o pani. Czy myśli pani poważnie o pracy w parku?

- Oczywiście - Andrea wyczuła zainteresowanie Jima. - I tak zamierzałam skończyć z lataniem. Dlatego zaczęłam się doksztalać. Jestem niezamężna i, w przeciwieństwie do moich rodziców, nic nie wiąże mnie z Denver.

- A zatem zmiana zawodu nie ma nic wspólnego z katastrofą?

- Absolutnie. Zmiana pracy jest przemyślaną decyzją.

- Nie ma pani problemów z lataniem? Jeżeli panią zatrudnimy, musiałyby pani latać helikopterem ratowniczym. Andrea zamilkła na chwilę.

- To prawda, że z lataniem kojarzą mi się złe wspomnienia. Ale przed przyjęciem wymówienia wysłano mnie do poradni zawodowej i w ramach testu odbyłam krótki lot. Otrzymałam doskonałe świadectwo zdrowia. Chętnie je panu przedstawię.

- Bardzo proszę. W pełni doceniam pani szczerść - Jim sprawiał wrażenie zadowolonego. - Jako strażnik musiałyby się pani najpierw zapoznać z patrolowaniem szlaków pieszych i wodnych, dopiero potem zaczęłyby pani szkolenie na śmigłowcu. Musiałyby też pani uzyskać prawo jazdy stanu Arizona. Poradzi sobie pani?

Andrea poczuła, jak ogarnia ją coraz większe podniecenie.

- Och, tak. Jestem dobrym kierowcą i nieźle pływam. Moi rodzice mieli łódź, każdego lata jeździłam też na nartach wodnych na jeziorze Sloans.

- Znakomicie. Umiejętności wioślarskie bardzo się przydadzą. Czy jeździ pani konno? Organizujemy bowiem także przejażdżki na mułach w dół Kanionu.

- W dzieciństwie brałam lekcje jazdy konnej - powiedziała Andrea. - Nigdy jednak nie jeździłam na mule - dodała po chwili

milczenia. - To chyba to samo, prawda?

- Niezupełnie, pani Claybourne - odparł Jim ze śmiechem. - Czy interesuje panią ta praca?

- Ogromnie. Ale... - Andrea pohamowała entuzjazm, - Panie Stevens, dlaczego właśnie ja? Mam dwadzieścia sześć lat, dwa lata studiów za sobą i żadnego doświadczenia jako strażnik parku. Naprawdę, bardzo mi zależy na tej pracy, ale z pewnością musieli się zgłosić bardziej odpowiedni kandydaci.

Jim Stevens nie odzywał się przez chwilę.

- Była pani ze mną szczerą, zrewanżuję się więc tym samym. Kilka lat temu jedna z naszych strażniczek zginęła w czasie akcji ratunkowej na rzece.

- To straszne!

- Tak, to był... ogromny szok dla wszystkich. Akurat ta osoba odznaczała się imponującymi umiejętnościami. Pracowała przez pewien czas w ratownictwie wojskowym, a potem jako sanitariuszka w straży pożarnej. Kwalifikacje Sary Wolf były bez zarzutu. Gdy jednak przyszło do akcji ratunkowej na rzece... - tu Jim westchnął - Sarze się nie udało. Podobnie zresztą trzem turystom, którym pośpieszyła na ratunek.

- Biedna kobieta - szepnęła Andrea. Los bywa okrutny. Sara utonęła, a Dee zginęła w katastrofie. Choć Andrea była tuż obok przyjaciółki, nie zdołała przyjść jej z pomocą. Najwyraźniej nie można było także pomóc Sarze.

- Robię sobie wyrzuty, że przyjąłem ją do pracy - ciągnął Jim chrapliwym głosem. - Ale skąd mogłem wiedzieć? Z jej podania wynikało, że ma doskonałe przygotowanie. Pani doświadczenie w zakresie pomocy medycznej i akcji poszukiwawczych jest może niewielkie, ale dzięki gazetom wiem, że radzi sobie pani w trudnych sytuacjach. Straż parku narodowego w Wielkim Kanionie potrzebuje takich ludzi. Możemy nauczyć panią wszystkiego, co będzie tu pani potrzebne, nie sposób jednak nauczyć odwagi.

Z początku Andrea nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie odezwała się spokojnie:



- Nigdy nie uważałam się za osobę szczególnie odważną, panie Stevens. Zrobiłam po prostu to, co do mnie należało, to wszystko.

- Wiem, pani Claybourne. Dlatego właśnie proponuję pani tę pracę. Od kiedy może pani zacząć?

Ta rozmowa miała miejsce dwa tygodnie temu. Andrea spakowała się, rodzinie, przyjacielom i małej Emilce dała nowy adres, po czym załadowała do samochodu i wyruszyła do Arizony. Z mieszanymi uczuciami opuszczała znane od dzieciństwa miejsca, ale pragnęła otworzyć nowy rozdział w swoim życiu. A teraz siedzi tu, w Wielkim Kanionie, i wysłuchuje krzyków z biura dyrektora. Krzyczał co prawda nie Jim, tylko Kurt.

- Pytałeś mnie o zdanie na temat stażystów. Proszę bardzo, nadają się wszyscy z wyjątkiem stewardesy.

- Asystentki pokładowej - sprostowała głośno Andrea, ale wrzeszczący na całe gardło Kurt oczywiście jej nie usłyszał.

- Jim, nigdy nie przyjąłbym do pracy lalki Barbie. Oczy dziewczyny zapłonęły gniewem na dźwięk

nowej zniewagi. Kobiety z rodziny Gaybourne'ów odznaczały się niezwykłą, klasyczną urodą. W ich żyłach płynęła krew wikingów. Dwie kuzynki Andrei pracowały jako modelki. Jej matka wygrała za młodu konkurs piękności, zaś do Andrei zwrócił się z interesującą propozycją pracodawca jej kuzynki.

Przy jej smukłej, wysokiej sylwetce, jasnych włosach i niebieskich oczach często zdarzało się, że mężczyźni mylnie ją oceniali. Jednakże kobiety z rodziny Claybourne'ów potrafiły również poradzić sobie z każdym mężczyzną, który oceniał je tylko na podstawie wyglądu. Andrea nie była tu wyjątkiem.

Ta praca jest jej. I nikomu nie pozwoli jej sobie odebrać, zwłaszcza temu mężczyźnie, który przekreśla ją z góry, nie dając żadnych szans.

- No, Jim, bądź ze mną szczery — nalegał Kurt - jest krewną gubernatora, czy co? Podaj mi powód, jeden przekonujący powód, dlaczego ją zatrudniłeś, a nic nie powiem.

Andrea na chwilę zamarła. Poprosiła Jima, żeby zachował dla

siebie jej „bohaterski wyczyn”, jak to określały gazety. Koledzy i koleżanki z pracy wycinali dla niej artykuły o katastrofie. Pamiętała je dobrze.

Jedno ze zdjęć ukazywało ją bosą na ośnieżonym pasie startowym z krwawiącą Emilią na rękach. Na drugim widać było nieruchomą Dee - spowity w białe płótno kształt, który wynoszono ze spalonego samolotu.

Czuła się zażenowana niezgrabnymi słowami pochwały towarzyszącymi pierwszej fotografii. Druga zaś wywoływała makabryczne pytania ze strony ciekawskich. Andreę do głębi poruszył sensacyjny obraz ostatnich minut życia Dee w środkach masowego przekazu, poprosiła więc Jima o dyskrecję.

- Dee i ja wychowywałyśmy się razem, panie Stevens. Byłyśmy jak siostry. - Tę wiadomość, co wspominała z bólem, wykorzystały media. Tygodniami dziennikarze bezlitośnie, choć bezowocnie, nagabywali ją o szczegóły. - Nie chcę rozmawiać o Dee z obcymi. Minęły już dwa miesiące i wątpię, by ktokolwiek skojarzył moje nazwisko z katastrofą. Wolałabym, żeby tak pozostało, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Ku jej uldze Jim się zgodził. Czy teraz złamie słowo?

- Czekam na odpowiedź, Jim - ponaglał Kurt. Andrea wyczuła zniecierpliwienie w jego głosie.

- Wybacz, Kurt, ale będziesz musiał zaufać mojemu dwudziestoletniemu doświadczeniu.

Andrea wydała z siebie westchnienie ulgi. Wkrótce, gdy mężczyźni weszli do poczekalni, skierowała uwagę na młodszego z nich. Podszedł do niej z wyrazem lekceważenia w oczach.

- Ufam ci, Jim, ale mam co do niej wątpliwości. Podniosła się z miejsca. Wytrzymała jego nieustępliwe spojrzenie, gdy mówił:

- Oby nie skończyła jak Sara Wolf.



## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Tę uwagę Kurt Marlowe, bo tak brzmiało jego nazwisko, zrobił dwa tygodnie temu.

Jim zachował się z rezerwą. Odesłał ją szybko do sekretarki, żeby wypełniła formularze, jakich zwykle wymaga się od nowego pracownika. Andrea podejrzewała, że zakłopotany pragnął uniknąć pytań.

Rozglądała się w nadziei, że spotka pana Marlowe'a i powie mu, co o nim myśli. Ani razu jednak nie natknęła się na śniadego mężczyznę o pogardliwym spojrzeniu i włosach w kolorze mahoni. Może i lepiej. Skupiła się teraz na nauce nowego zawodu i nawiązywaniu kontaktów z nowymi kolegami. Wolała unikać kłótni, nawet jeśli ją sprowokowano.

Po paru dniach Jim przeprosił za zachowanie Kurta.

- Musisz mu wybaczyć, Andreo. Kurt mówi to, co myśli, a my nie zwracamy uwagi na jego wybuchy z dwóch powodów. Po pierwsze, jest naszym najlepszym lotnym strażnikiem.

- Lotnym?

- Tak. Większość strażników ma przydzielone stałe drogi, szlaki lub rzekę. Są tacy, którzy patrolują z helikopterów lub szkołą nowych pracowników. Kurt jest ekspertem we wszystkich dziedzinach, dlatego nie jest przydzielony na stałe do żadnej z nich... ani też nie ma stałego partnera. Wysyłamy go tam, gdzie jest akurat najbardziej potrzebny.

- A drugi powód? - zapytała z zainteresowaniem.

- Kurt zajmuje u nas bardzo ważną pozycję. Doświadczenie i wiedza sprawiają, że jego opinia bardzo się liczy, zwłaszcza jeśli chodzi o szkolenie nowych pracowników. Potrafi być szorstki, nawet bardzo nie uprzejmy, ale nie należy wyciągać z tego zbyt pochopnych wniosków. Przeszedł swoje. Kurt Marlowe jest doskonałym instruktorem i bardzo wartościowym człowiekiem. Najlepiej zapomnij o tym, co wtedy powiedział.

Andrea próbowała, ale bez skutku. Co raz stawała jej przed

oczyma wyniosła twarz Marlowe'a. Z niemałym wysiłkiem przychodziło jej skupić się na zajęciach. Tak było i tym razem.

Niespokojnie założyła nogę na nogę, nie zwracając uwagi na pełne zainteresowania spojrzenia kolegów. Andrea nie była przyzwyczajona do długiego siedzenia. Drewniane ławki nie należały do specjalnie wygodnych, a beżowe szorty, które strażnicy nosili w lecie, sprawiały, że gołe nogi przyklejały się do krzesła.

Równie dobrze można siedzieć w samolocie, pomyślała z irytacją. Wielki Kanion, z zapierającą dech gamą kolorów, był niedaleko. Z powodu zajęć nie miała nawet okazji mu się przyjrzeć.

Ale wkrótce miało się to zmienić.

Instruktor wszedł do sali, a stażyści usiedli, pełni oczekiwania.

- Moi drodzy, miło mi oznajmić, że zajęcia teoretyczne zaliczyli wszyscy. Dzisiaj pod kontrolą doświadczonych kolegów rozpoczynają się szkolenia terenowe.

Instruktor wskazał w kierunku drzwi. Stało tam w rzędzie dziesięciu strażników, samych mężczyzn, ubranych w takie same jak Andrea beżowe koszule, szorty, skarpety do kolan i buty. Na głowach mieli charakterystyczne dla strażników parku kapelusze z szerokim rondem. Kapelusz Andrei leżał na stoliku.

- Najpierw odczytam nazwisko stażysty, a potem jego instruktora. Do końca stażu każdy z was ma współpracować z tym samym strażnikiem, który będzie wam zlecał wszelkie zadania. Jest waszym przełożonym i do niego należy ostatnie słowo w ocenie waszych umiejętności, więc traktujcie go w odpowiedni sposób.

Andrea zmarszczyła brwi na widok Kurta Marlowe'a, który właśnie wszedł do sali. Stał w pewnej odległości od reszty instruktorów, z założonymi na piersi rękoma. Zauważyła, jak rozgląda się po twarzach stażystów i wreszcie koncentruje spojrzenie na niej - dłużej niż pozwala dobre wychowanie. Nie speszona Andrea odpowiedziała równie śmiało, wysuwając hardo podbródek. Ku jej irytacji Marlowe zmrużył oczy z dezaprobatą i odwrócił wzrok.

Wiedziała, że jej kwalifikacje zawodowe oraz wygląd są bez

zarzutu. Ubranie starannie wyprasowała - kanty były równe i ostre. Miała delikatny makijaż, paznokcie pociągnięte bezbarwnym lakierem, włosy splotła we francuski warkocz.

Zauważyła z niechętnym podziwem, że wygląd Kurta Marlowe'a był równie wypracowany. Starannie ogolony, uczesany po wojskowemu i w idealnie wypolerowanych butach, nie miał w sobie jednak nic z fircyka - uznała. Jej uwagę zwracała szczególnie mocno zarysowana szczęka i chłodny, inteligentny wyraz oczu. Wątpiła, czy go polubi, ale nie miała zamiaru go lekceważyć.

- Randy Wong, twoim instruktorem będzie Frank Williams. Ted Webster będzie pracował z Felipe Mendezem.

Andrea nie miała nic przeciwko pracy z mężczyznami, choć nie było w tym względzie wyboru, ponieważ instruktorami byli tu bez wyjątku mężczyźni. Miała tylko nadzieję, że nie trafi do Marlowe'a. Jim mówił, że większość strażników, zatrudnionych na stałe w Wielkim Kanionie, to mężczyźni. Kobiety z reguły pracowały jako sanitariuszki w helikopterach; w takim również charakterze zostanie zapewne zatrudniona po stażu Andrea. Ale i wśród strażników trafiały się kobiety, jak zapewniał Jim. Andrea zdążyła się już zapoznać z Judy - drugą kobietą w grupie.

- Judy Teufel, współpracujesz z Danem Priorem. Andrea Claybourne... Andrea czekała w napięciu.

- Twoim instruktorem będzie Kurt Marlowe.

Nie on! Każdy, byle nie on! - krzyczała w duchu. Na zewnątrz opanowała jednak zdenerwowanie i skinęła chłodno do nowego przełożonego. Nie na darmo zajmowała się przez pięć lat rozkapryszonymi pasażerami. Za nic w świecie nie da po sobie poznać, co znaczy dla niej tak niepomyślny zbieg okoliczności. Czy jednak na pewno zbieg okoliczności?

Andrea przypomniała sobie obraźliwe uwagi Marlowe'a i oblała się rumieńcem gniewu. Skoro Marlowe uważał ją za tak marny nabytek i nie chciał mieć z nią do czynienia, dlaczego ją do niego przydzielono? Marlowe podobno jest tu figurą. Na pewno więc może sam wybrać sobie kandydata. Andrea postanowiła dociec prawdy.

- Ustawcie się teraz w parach - padło polecenie.
- To wasz pierwszy dzień w Wielkim Kanionie. Powodzenia!  
Rozległy się oklaski i okrzyki zadowolenia. Andrea skwitowała rzecz uśmiechem, po czym wyszła na dwór, wdychając świeże powietrze. Nie będzie czekała na Marlowe'a jak nieśmiała pensjonarka; najlepiej jeśli sama podejdzie do niego. Szybko go odszukała.
- Pan Marlowe? Jestem Andrea Claybourne. Miło mi pana poznać - wyciągnęła dłoń.
- Wierutne kłamstwo, zważywszy że wie pani doskonale, że nie popierałem pani kandydatury.
- Uścisk dłoni był nader zdawkowy.
- Wolę uprzejmość od brutalnej prawdy – odparła Andrea opanowanym tonem, jaki zwykle przybierała wobec uciążliwych pasażerów.
- Szkoda, bo ja wprost przeciwnie. Owijanie w bawełnę dobre jest dla stewardesy, tu wydaje się nie na miejscu.
- Powinien pan uwspółcześnić terminologię. Dziś już nie ma stewardes, są tylko asystentki pokładowe. Nie chodzi jednak o owijanie w bawełnę, ale o dobre wychowanie, które zawsze jest na miejscu.  
Z satysfakcją zauważyła, że Marlowe się zmieszał.
- Proszę jednak mówić dalej, panie Marlowe. Może kiedy pan skończy, będziemy się mogli zabrać do pracy.  
Przez chwilę na twarzy Kurta pojawiło się coś na kształt uznania, zaraz jednak znikło.
- Nie ma pani predyspozycji do pracy tutaj, pani Claybourne. Proszę się sobie przyjrzeć.
- Dostrzega pan jakiś defekt w moim wyglądzie?
- Nie. Tak.
- A więc nie czy tak?
- Ma pani odpowiedni wzrost, ale ciało pozbawione jest masy. - Obrzucił ją niechętnym wzrokiem.
- Masy? Nie przypominam sobie, żeby kandydatom stawiano takie

wymagania.

Kurt wzruszył ramionami, nadal prezentując chmurne oblicze.

- Zwieje panią najłżejszy podmuch. Nie wyobrażam sobie pani z plecakiem, a co dopiero z obciążonymi noszami.

Andrea pomyślała o rannych pasażerach, których podnosiła i prowadziła do wyjścia po katastrofie i o ciężkich drzwiach awaryjnych, które zdołała otworzyć.

- Wygląd może okazać się mylący, panie Marlowe. Kurt zmrużył oczy.

- Będzie mnie pani musiała o tym przekonać.

- Do tego właśnie służy, jak rozumiem, staż próbny - zauważyła oschle Andrea. - Skoro jest pan takim zagorzałym przeciwnikiem zatrudnienia mnie tutaj w charakterze strażnika, dlaczego pracujemy razem? Trudno uwierzyć, że to przypadek.

To prawda. Prosiłem, żeby przydzielono mi panią, skarbie, bo chcę odesłać panią najbliższym samolotem.

Proszę nie mówić do mnie „skarbie”. Gdybym za każdym razem, kiedy zwracał się tak do mnie pasażer, dostawała dolara, mogłabym śmiało zażywać uroków emerytury na Riwierze.

- Dobrze. Będę się do pani zwracał, jak sobie pani życzy - obiecał Kurt wsuwając kciuk w szlufki spodni.

- Nie nazwę pani tylko strażnikiem, albowiem wątpię, żeby wytrzymała pani do końca stażu.

- Myli się pan, panie Marlowe - odparła wzburzona. - Jadąc tu spaliłam za sobą wszystkie mosty. Rzuciłam pracę, sprzedałam dom, zostawiłam przyjaciół i rodzinę po to, żeby pracować w Wielkim Kanionie. Nigdzie się więc stąd nie ruszę.

- Jestem innego zdania - obstawał przy swoim.

- Radzę kupić nowy dom i wracać do rodziny i poprzedniego zajęcia.

- A ja ostrzegam - głos Andrei zabrzmiał twardo jak stal - że jeżeli spróbuje pan mnie szykanować w czasie stażu próbnego, wynajmę najlepszego, na jakiego mnie będzie stać, obrońcę do spraw dyskryminacji kobiet i za uprzedzenia wobec stewardes zawłokę pana

do najbliższego sądu.

- Wierzę, że mówi pani poważnie - odezwał się po chwili Kurt.

- Może się pan o tym przekonać.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne. Nigdy dotąd nikogo nie szykanowałem w czasie stażu, pani Claybourne. I nie zamierzam tego robić.

- To zaiste chwalebne - zauważyła uszczypliwie.

- Będzie pani miała takie same szanse jak inni stażyści. Ma pani na to moje słowo.

Andrea spojrzała mu prosto w oczy. Nie wątpiła, że Kurt Marlowe mówi prawdę.

- O to tylko proszę.

- Ale...

Wiedziała, że musi być jakieś ale.

- Ale co?

- Proszę się nie spodziewać żadnych forów. Uniosła wyzywająco podbródek i obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

- Może pan być spokojny. Czy teraz możemy zacząć?

Piętnaście minut później Andrea wychodziła ze swojego domku kempingowego niosąc plecak z żywnością, zapasem wody, apteczką i ubraniem na zmianę. Nie wiedziała, co ją czeka i czuła dreszczyk podniecenia. Po raz pierwszy miała ujrzeć Kanion z bliska. Zgodnie z instrukcją, spotkała się z Kurtem przy głównym szlaku Południowej Krawędzi.

Przystanęła nad przepaścią, podziwiając bogactwo kolorów wyniosłych grzbietów, płaskowyżów i wąwozów. Półtora kilometra niżej połyskiwała w słońcu meandrująca rzeka Kolorado. Obok Andrei przeszło kilku turystów z zamiarem dotarcia na dno Kanionu. Widok zrobił na niej takie wrażenie, że dopiero za drugim razem usłyszała wołanie Kurta.

- Czy ma pani wszystko co trzeba? Manierka pełna?

- Zapakowałam dokładnie to, o co pan prosił. Jestem gotowa - skinęła głową.



- A więc ruszajmy. - Zeszli z wyłożonego płytami głównego szlaku na kamienistą dróżkę.

- Jaki wspaniały dzień! - zawołała Andrea z podziwem. Niebo miało cudowny turkusowy kolor, a powietrze było balsamiczne i rześkie.

- Jest tu pani nie po to, żeby rozmawiać o pogodzie, ale żeby się uczyć.

Obruszyła się, ale postanowiła, że nie da sobie zepsuć dobrego nastroju.

A nie mogę robić obydwu tych rzeczy jednocześnie? - zapytała.

Niech się pani lepiej skoncentruje na drodze. Wszyscy nowi strażnicy muszą poznać szlaki. Jedyne sposoby to wędrować nimi. Dzisiaj ruszymy szlakiem Jasnego Anioła.

- Jasnego Anioła? Co za śliczna nazwa. Kurt puścił tę uwagę mimo uszu.

- To jeden z dwóch szlaków między Południową Krawędzią a rzeką. Drugi nazywa się Kaibab. Należą do najbardziej uczęszczanych. Na nich także jest najwięcej wypadków.

- Czy chodzą tędy muły? - zapytała zaciekawiona Andrea.

- Owszem. Są bardzo przydatne. Czasami musimy ich używać podczas akcji ratunkowych. Pomagają przy ewakuacji rannych. Mają jeden popas na Krawędzi, drugi w połowie szlaku, a trzeci na dnie Kanionu. Karawanę mułów zobaczy pani później. Dzisiaj będziemy schodzić w dół, a jutro wspinać się na krawędź Kanionu. Muły minimy po drodze.

- Zostaniemy na noc na dnie Kanionu? Nie mówił pan o tym!

- A po co, pani zdaniem, poprosiłem o spakowanie zapasowego ubrania?

- Myślałam o smutniejszej konieczności. - Andrea z trudnością mogła opanować podekscytowanie. W pewnym momencie osunęła jej się nieco noga na ścieżce i Kurt pochwycił ją za ramię.

Zaskoczył ją ten dotyk: odznaczał się ciepłem, delikatnością, a jednocześnie siłą. Nigdy przedtem nie była do tego stopnia świadoma obecności mężczyzny.

- Proszę uważać na drogę! - ostrzegł. Poczekał, aż odzyska równowagę, i puścił jej ramię.

Próbowała odzyskać także równowagę wewnętrzną. To dziwne, ale zazwyczaj mężczyźni tak na nią nie działali, a co dopiero ktoś, kto tak nisko ocenił jej umiejętności. Nie miało to najmniejszego sensu. Z drugiej jednak strony rozpraszało ją do tego stopnia, że musiała użyć całej siły woli, aby skupić się na tym, co mówi.

- Jasny Anioł to najłatwiejszy z naszych szlaków! Nie jest panoramiczny. Jeżeli nie będzie sobie pani mogła z nim poradzić, równie dobrze może się pani spakować i wracać do domu.

- Panoramiczny? Co to znaczy?

- To znaczy, że biegnie blisko krawędzi. Jasny Anioł nie należy do takich szlaków. Nie zobaczy pani wspaniałych otwartych widoków, ale też nie będą się musiał martwić, że spadnie pani półtora kilometra w dół.

- Niech się pan o mnie nie boi - uspokoiła go Andrea, prostując ramiona. - Mam zamiar dotrzeć na dno Kanionu w całości.

- Nie byłaby pani pierwszą stażystką, której się nie powiodło - odparł Kurt. - Na tym szlaku mamy przynajmniej dwa schroniska, a w połowie drogi stację straży z wszelkimi wygodami. Inne szlaki są bardziej prymitywne.

- Poradzę sobie - zapewniła Andrea.

- Szlak ma blisko dwadzieścia kilometrów - ostrzegł Kurt. - A pani już osunęła się noga. Proszę dać mi znać, jeśli zrobią się pani pęcherze. Kandydaci na strażników i nowe buty to zazwyczaj bolesne połączenie. Zatrzymamy się w pierwszym schronisku i damy pani nogom odpocząć.

- To nie będzie potrzebne - zapewniła Andrea, gdy znowu ruszyli w dół. - W chodzeniu jestem maratończykiem. Na trasie Nowy Jork - Londyn godzinami musiałam trzymać się na nogach. - Andrea zerknęła na tablicę informacyjną. Pierwszy postój przewidziany był już po trzech kilometrach, a drugi po sześciu.

Może zatrzymamy się w drugim schronisku? Zobaczymy, jak będzie sobie pani radziła - odparł Mailowe. Nie wydawał się

przekonany.

Skinęła lekko głową i ruszyli dalej. Kurt nadawał ostre tempo i wkrótce znaleźli się przy pierwszym schronisku. Andrea świadoma była jego częstych spojrzeń; przyłapała się na rozmyślaniach, jakim mężczyzną jest Kurt. Gdyby nie był taki... taki pełen dezaprobaty, jego towarzystwo byłoby całkiem miłe. Za nic nie chciałaby spędzić najbliższych miesięcy z kimś, dla kogo jest ciężarem.

Rola nowicjusza nigdy nie jest łatwa. Andrea pomyślała o wszystkich dobrych znajomych, których zostawiła odchodząc z pracy i westchnęła ciężko.

Marlowe odwrócił się natychmiast.

- Wszystko w porządku? Wiedziałem, że powinniśmy się zatrzymać przy pierwszym schronisku.

- Czuję się świetnie - odparła zdziwiona troską w jego głosie. - Dlaczego pan uważa, że potrzebny mi jest odpoczynek?

- Sprawiała pani wrażenie zmęczonej. Strome zejścia są bardzo męczące dla nóg, zwłaszcza dla kolan. Do następnego schroniska mamy tylko pięć minut. Da pani radę?

- Bez problemu - odparła zdecydowanym głosem. - Ale dziękuję, że pan spytał.

Kiedy ponownie ruszyli szlakiem, zauważyła, że zwolnił. Następne strome odcinki pokonali w dużo wolniejszym tempie i po chwili znaleźli się przy schronisku, pozbawionym co prawda wody i innych wygód, ale położonym na skraju polany. Kurt znalazł ocienione miejsce i skinieniem przywołał Andree.

- Sądziłam, że będzie tu więcej ludzi - zauważyła, zerkając na garstkę turystów rozkoszujących się zimnymi napojami w cieniu.

- Już niedługo. Na tłumy musimy poczekać jeszcze miesiąc, do początków czerwca - poinformował Kurt.

- Niech pani usiądzie, ale proszę sprawdzić, czy nie ma węży. W parku są grzechotniki.

- Mówili nam o tym w czasie zajęć - odparła, lustrując uważnie skały. - Takich rzeczy się nie zapomina. - Zsunęła plecak, przyjmując ze zdziwieniem pomoc Marlowe'a.

- Nie potrzebuję uprzywilejowanego traktowania - przypomniała.

- Pierwszego dnia dla każdego robię wyjątki - wyjaśnił, po czym zabrał się do zdejmowania swojego.

- Nawet dla stewart... dla asystentki pokładowej.

Z przyjemnością zauważyła, że się poprawił. Drobne zwycięstwo, ale jednak zwycięstwo.

- Niech pani koniecznie coś zje i wypije. Większość ofiar wypadków cierpi na odwodnienie, więc nie należy zapominać o piciu. Niech pani pije, ile się da i kiedy się da.

- Na pewno - przyrzekła i usiadła na ziemi. Marlowe usadowił się parę kroków dalej. Przyglądała się, jak pije z manierki. Zanim jednak sięgnęła po swoją, wyjęła puderniczkę i przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu.

Manierka Kurta zastygła nagle w powietrzu.

- Co pani robi?

Spojrzała na niego, po czym znowu skupiła się na puderniczkę.

- Sprawdzam makijaż, naturalnie.

- Nie sądzę, żeby był pani tutaj potrzebny, chyba że szuka pani męża. - Wygłosiwszy tę kwestię, pociągnął łyk wody i dalej się jej przyglądał.

- A jeśli mnie makijaż wydaje się potrzebny? - zapytała głosem, który ostudziłby nawet najbardziej wojowniczo usposobionego pasażera.

- Moim zdaniem to strata czasu - odparł.

- Dla pańskiej informacji podaję, że mam jasną karnację, niezwykle wrażliwą na działanie słońca. Makijaż zaś zawiera filtr przeciwsłoneczny. - Andrea dotknęła nosa i policzków. - Podobnie błyszczący do ust. Nie zamierzam nabawić się poparzeń, tylko dlatego że denerwuje pana pudrowanie nosa. Po twarzy Kurta przeniknął na chwilę uśmiech. Nie sądzę, żeby było mi do twarzy z cerą przypominającą starą cholewę - dodała patrząc wymownie na jego ogorzałe od wiatru kościste policzki. Jemu jednak jest z tym do twarzy, uznała, zła, że poddaje się jego urokowi. Zamknęła głośno

puderniczkę i włożyła ją z powrotem do plecaka. Następnie wyjęła kubek i napełniła wodą.

- Może pani pić prosto z manierki - rzucił Kurt, przyglądając się jej uważnie.

- Ale mogę również pić z kubka. - Pociągnęła łyk, potem drugi. Z plecaka wyciągnęła lnianą serwetkę, którą rozwinęła i starannie rozłożyła na kolanach.

- Serwetka? - zapytał mrugając z niedowierzaniem.

- Ale nie papierowa - broniła się Andrea. - Jest z lnu, więc nieszkodliwa dla środowiska.

- To jednak dodatkowe obciążenie. Można przecież obetrzeć twarz dłonią.

- Dziękuję za radę, ale nie skorzystam - odparła sztywno. - Nie przeszkadza mi parę gramów więcej.

Kurt prychnął niezadowolony i sięgnął do plecaka.

- Ma pani ochotę na mieloną wołowinę?

- Dziękuję, mam własny prowiant.

- Co takiego? - zapytał sucho. - Pasztet? Kawior?

- Żartuje pan sobie ze mnie, panie Marlowe? - Andrea wyjęła z plecaka plastikowy pojemnik i otworzyła wieczko. - Bo jeśli tak, to niech pan wie, że nie pozwolę na to. - Powiedziała sobie w duchu, że ma jeszcze przed sobą pięćdziesiąt trzy dni, pięćdziesiąt trzy dni ćwiczenia w cierpliwości. Tydzień teorii uznała za przygnębiający.

- Ależ skąd, ja tylko... Czy to *croissant*?

Andrea dostrzegła w jego oczach nagłe zainteresowanie, które jeszcze wzrosło, kiedy wyjęła słoiczek dżemu jagodowego.

- Tak. Wiem, że nie jest to tak pożywne jak wołowina, ale dla mnie wystarczy.

- Kto zabiera francuskie rogaliki na pieszą wycieczkę?

- Ja - odparła. - Lubię sobie dogadzać. Zasługuję na to po tym, co zmuszona byłam jadać w samolotach. - Posmarowała rogalik grubo dżemem i ugryzła kawałek.

- Chyba tak. - Ku jej rozbawieniu odłożył nagle mieloną wołowinę.

- Nie jest pan już głodny? - zapytała niewinnie.

- Nie. Zjadłem duże śniadanie.

- Szkoda. Mam w plecaku więcej rogalików, chętnie bym pana poczęstowała.

- Nie, dziękuję - odparł, obrzucając ją niechętnym spojrzeniem. - Musimy ruszać, jeśli chcemy dotrzeć na dno Kanionu przed zachodem słońca. Proszę się pośpieszyć.

Andrea zastosowała się do polecenia i wkrótce znów byli na szlaku. Kurt wyjaśniał wszystko po drodze.

Szlak, choć wąski, nie sprawiał większych trudności. Szła jego śladem, starając się rozpoznać jak najwięcej roślinności. Znała wiele drzew liściastych i zimozielonych krzewów. Obserwowała zwierzęta, szczególnie wiewiórki i ptaki.

Podczas szkolenia teoretycznego dowiedziała się, że trudniej zauważyć większe zwierzęta. Jelenie, kojoty, czarne niedźwiedzie, rysie i kozice chowały się przed ludźmi. Tłumy zwiedzających zakłócają rytm życia natury, toteż turystów proszono o informowanie strażników, ilekroć natrafią na rzadki okaz. Dla dobra zwierząt i ludzi, pracownicy parku starali się śledzić uważnie zwłaszcza lwy górskie, kozice pustynne i dzikie osły.

Andrea nigdy jeszcze nie widziała dzikich zwierząt w naturalnym otoczeniu. I choć nie była na tyle naiwna, by sądzić, że natrafią na nie już pierwszego dnia, w dodatku w pobliżu bardziej uczęszczanych szlaków, rozglądała się jednak z entuzjazmem dookoła. Entuzjazm się opłacał. Po godzinie marszu zauważyła, że coś się poruszyło nie opodal drogi.

Natychmiast dotknęła ramienia Kurta, dając mu znać, żeby się zatrzymał.

- Czy coś się stało?

Andrea przyłożyła palec do ust, po czym wskazała na jedno z rzadkich w okolicy zakrzewionych miejsc przy szlaku.

- Czy to osioł? - szepnęła.

Kurt wyteńczył wzrok we wskazanym kierunku.

- W rzeczy samej. Ma pani dobry wzrok, pani Claybourne -



odpowiedział również szeptem z niechętnym uznaniem.

- Miałam nadzieję, że wypatrzę jakieś zwierzęta - zwierzyła się podekscytowana. - Co teraz?

- Zobaczymy, czy uda nam się go złapać.

- Złapać? - powtórzyła jak echo Andrea.

- Nie tak głośno! - przytknęła rękę do jej ust; nagle poczuła na wargach ciepło jego palców.

- Myślałam, że według regulaminu mamy jedynie informować o dzikich osłach - powiedziała już znacznie ciszej.

- To turyści mają informować. Obowiązkiem strażników jest je chwycić. - Kurt zdjął plecak i sięgnął doń po zwój liny, uśmiechając się z satysfakcją na widok zdenerwowania Andrei. - Niech pani wierzy, to świetna zabawa.

- No nie wiem - odparła, nie spuszczać wzroku z kolorowej plamy w zaroślach. - Podczas szkolenia nie mówiono nam nic o chwytaniu osłów.

- Denerwuje się pani?

- Niespecjalnie, choć do Indiany Jonesa mi daleko - odpowiedziała cicho.

- Będzie się pani musiała wiele nauczyć, pani Claybourne. Osły nie należą do naturalnej fauny Kanionu, pozostały tu po poszukiwaczach złota. Są wytrzymałe, odporne na choroby i rozmnażają się jak króliki. Co więcej, niszczą roślinność i naruszają równowagę środowiska. Ich populacji nie zmniejszają nawet kuguary - poinformował, zawiązując pętlę na końcu liny.

- Musimy więc je łapać?

- No właśnie.

- A co potem?

- Potem usypiamy je i wciągamy helikopterami na górę, gdzie trzymane są w specjalnie przeznaczonym dla nich miejscu. Dla zdrowych zwierząt znajduje się zawsze jakieś miejsce na okolicznych farmach.

- A... co z niezdrowymi?

Kurt posłał jej wymowne spojrzenie.

- Och, nie!
- Nasz weterynarz jest bardzo humanitarny - zapewnił Kurt. - A teraz proszę za mną. Zejdziemy ze szlaku, więc niech pani uważa.
- Co mam robić? - zapytała Andrea, stąpając uważnie wśród roślin i omijając kamienie.
- Iść moim śladem. Uśpię go specjalnym ładunkiem. Później pomoże mi pani w zakładaniu uprzęży.
- Będzie pan do niego strzelał? - spytała zaniepokojona. - Nie może go pan po prostu związać?
- Nie. Osły może są małe, ale za to silne. Nie chcę wylądować w przepaści.

Andrea chwyciła go impulsywnie za ramię wiedziona nagłym niepokojem.

- To się chyba nie zdarza, prawda?
  - Nie, ponieważ używamy usypiających strzał. Pani też będzie się musiała nauczyć nimi posługiwać - dodał.
  - Niech więc pan prowadzi. - Zażenowana, puściła jego ramię.
- Kurt posuwał się naprzód, aż znaleźli się zaledwie o kilku metrach od osła. Był w zasięgu strzału, lecz ku ich zdziwieniu nie ruszył się z miejsca.
- To jeszcze maleństwo - szepnęła Andrea. - O, niech pan spojrzy! Jest ranny.
  - To ośliczka - sprostował Kurt. - Ale ma pani rację. - Wskazał na otartą do krwi nóżkę.
  - Musiał paskudnie upaść. Nic dziwnego, że nie ucieka.
  - Gdzie jego matka? - Andrea skrzywiła się widząc, że Kurt mierzy w szarobrązowy zad osiołka.
  - Mam nadzieję, że gdzieś w pobliżu. Mały pewnie ssie jeszcze mleko matki. Gdy zacznie działać środek nasenny, rozejrzę się po okolicy.

Andrea zaczęła zbliżać się powoli, gdy drżące zwierzę upadło na ziemię. Odważyła się je nawet ostrożnie poklepać po szyi.

- Musi być spragniony. Szkoda, że nie daliśmy mu trochę wody.
- Lepiej, żeby miał pusty żołądek. Czasem środek usypiający

wywołuje wymioty. Niech go pani ma na oku, zaraz wracam.

Andrea czekała, a tymczasem Kurt obszedł prędko okolicę.

- Nic nie widzę. Matka albo go opuściła, albo... Andrei nie podobało się drugie „albo”.

- To chyba sierota - orzekł Kurt. Wyjął z plecaka nylonową uprząż i związał osiołka. - Lepiej wezwę helikopter.

- Niech pan zaczeka! Zanim pan przywoła... Chyba nie... uśpią maleństwa, co?

- To źrebię karmione jeszcze mlekiem matki, ze zranioną nogą, pani Clayboura'e. Uśpienie jest w tym wypadku czymś jak najbardziej humanitarnym.

- Humanitarnym? Chyba potwornym! Noga nie jest przecież złamana, gdyż by się na niej nie opierał. I założę się, że szybko mógłby się odzwyczaić od mleka.

- Andreo, jesteśmy strażnikami parku, a nie hodowcami osłów. Brakuje czasu i ludzi, żeby doglądać zranionych zwierząt. Wiem, że to brzmi okrutnie, ale musisz się z tym oswoić.

Była zbyt przygnębiona, żeby zauważyć współczucie w głosie Kurta.

- Nigdy się z tym nie oswoję. Żałuję, że sama go nie mogę przygarnąć.

Kurt otworzył usta, po czym je zamknął.

- Muszę wezwać helikopter - powiedział w końcu. Wkrótce dał się słyszeć szum śmigieł.

Andrea przysłuchiwała mu się z ciężkim sercem. Patrzyła, jak helikopter opuszcza linę i uprząż, którą Kurt umocował wokół brzucha zwierzęcia.

Serce się jej kroilo na widok bezwładnego ciała unoszonego do góry. W końcu zaczęła zwijać linę.

- Gotowa do dalszej drogi? - zapytał Kurt.

- Chyba tak - odparła ze ściśniętym gardłem.

- Przykro mi, jeśli chodzi o osiołka. To bardzo nieprzyjemna część naszej pracy. Źrebię było naprawdę ładne. Jak na osła, oczywiście - dodał pośpiesznie.

- Tak. - Andrei przyszło nagle do głowy, że Kurt nie jest taki twardy, za jakiego chciałby uchodzić.

- Rozmawiałem z pilotem i poprosiłem, żeby powiedział weterynarzowi, że źrebię jest w dobrym stanie. Silne zwierzęta staramy się ratować, lecz zazwyczaj... - nie dokończył. - No, zbierajmy się. Nie ma sensu roztrząsać tego w nieskończoność.

Skinęła głową. Czuła pod powiekami wzbierające łzy, ale zmusiła się, żeby nie myśleć o osiołku i mrugając zawzięcie powstrzymała się od płaczu. Żałowała, że w ogóle go zauważyła.

Kurt najwyraźniej postanowił unikać tematu źrebaka i wrócił do wygłaszania swoich nauk.

Jedną z rzeczy, które musisz robić w czasie patrolowania szlaku, będzie nawiązywanie kontaktu ze wszystkimi napotkanymi ludźmi. Uśmiechaj się do nich, rozmawiaj, obserwuj - tłumaczył. Znaleźli się w miejscu, gdzie szlak był szerszy i szli obok siebie. - W ten sposób można zauważyć wczesne objawy udaru cieplnego. Udar jest najczęstszą przyczyną wypadków. Czasami krótki odpoczynek w cieniu i parę łyków wody decyduje o życiu lub śmierci. I pamiętaj, że turysta nie może tu skorzystać z telefonu. Jest całkowicie zdany na nas i naszą umiejętność szybkiego wezwania pomocy. Musisz się więc zawsze upewnić, czy baterie w nadajniku są naładowane.

- Wiem. Mówili nam o tym w czasie szkolenia. Do ilu dokładnie stopni dochodzi tu temperatura?

- Najgorszy jest lipiec. Na Krawędzi bywa około 25 stopni Celsjusza, ale w miarę schodzenia robi się coraz goręcej. Na dnie temperatura dochodzi do 40 stopni. Wtedy zdarzają się też wypadki śmiertelne.

- Ale przecież wszędzie są tablice ostrzegające przed upałem! Dlaczego ludzie ich nie czytają? -zapytała gniewnie. Dostatecznie przygnębiająca była śmierć osła, a co dopiero człowieka.

- Z różnych powodów - odparł Kurt, wzruszając ramionami. - Czasami są to zagraniczni turyści, którzy nie rozumieją angielskich napisów i nie kupili odpowiedniego przewodnika. Kiedy indziej trafiają się uparci ignoranci lub zwyczajni głupcy. Bez względu na

powód, typowa ofiarą udaru jest nieodpowiednio ubrana i nic ma dostatecznego zapasu wody.

- Rozumiem chyba, dlaczego ludzie nie wierzą tablicom - zauważyła Andrea. - Teraz jest chłodno i przyjemnie, nie więcej niż 20 stopni.

- To bardzo mylące - zgodził się Kurt. - Ale szybko zauważysz zmianę, gdy będziemy schodzili coraz niżej. Roślinność pustynnieje. - Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tu tyle obszarów pustynnych. Podczas szkolenia mówiono przede wszystkim o akcjach poszukiwawczych oraz technikach przetrwania.

- Prawidłowo, a teraz poznasz trochę naturalne warunki. Większość ludzi nie wie, że trzy z czterech pustyni Ameryki Północnej zbiegają się w Wielkim Kanionie.

- Trzy? - Andrea spojrzała zdziwiona. - Kanion jest aż taki duży?

- Patrz na drogę, a nie na mnie - upomniał. - Tak, jest taki duży.

Ma w przybliżeniu 350 kilometrów długości, od sześciu do trzydziestu szerokości i prawie dwa kilometry głębokości.

- Nic dziwnego, że jest w nim miejsce na trzy pustynie - gwizdnęła cicho.

- Dlatego nazywa się Wielki.

- Jakie to pustynie? - dopytywała się Andrea.

- Sonora rozciąga się w środkowej Arizonie. Jej roślinność, głównie kaktusy i akacje, można znaleźć we wschodniej części Kanionu.

- A druga?

- To Mohave. Ciągnie się aż po zachodnią część Wielkiego Kanionu. Porastają ją charakterystyczne kaktusy.

- A trzecia?

- To pustynia górnego biegu Kolorado. Krawędź i większe wzniesienia Wielkiego Kanionu są częścią Wielkiej Niecki Pustynnej.

- Jeśli mówisz o zimnej pustyni w Newadzie, to powinna ją porastać szałwia, karłowata sosna i jałowiec - wyrecytowała zadowolona z siebie.

Widać było, że zaimponowała Kurtowi.

- Skąd wiesz?

- Pochodzę z Denver, krainy śniegów. Jeżdżę do Utah na narty. Kurt zatrzymał się nagle, Andrea poszła w jego ślady.

Tu nic bardzo będziesz mogła pojeździć na nartach. Dlaczego taka dziewczyna jak ty wyjechała z miasta?

- Potrzebowałam zmiany. - Otworzyła manierkę i pociągnęła spory łyk, nie zwracając sobie głowy aluminiowym kubkiem. Już od pewnego czasu temperatura była znacznie wyższa.

- To wszystko? - zapytał zaciekawiony Kurt.

- Prawie - odparła. Przed oczyma stanął jej na chwilę obraz roztrzaskanego samolotu i nieruchomej twarzy Dee. Podobno czas goi rany, lecz Andrea nie czuła się jeszcze na siłach rozmawiać o tragedii. - Można by chyba powiedzieć, że to przeznaczenie. A ty? Pochodzisz stąd? - zapytała.

Kurt także się napił. Kiedy się odezwał, widać było, że zgodził się na zmianę tematu.

- Urodziłem się w Phoenix i wychowałem w Arizonie. Żadnych braci ani sióstr.

- A rodzice?

- Żyją i mają się dobrze - odparł ruszając w drogę. Andrea zauważyła, że niechętnie rozmawiał na tematy osobiste. Od kolegów niewiele o nim słyszała. Należał do tych nielicznych, na których temat, się nie plotkuje. Nie wiadomo, czy to z powodu zajmowanej pozycji, czy dlatego że trzymał się na uboczu.

- Słyszałam, że twoja matka jest botanikiem i prowadzi własną hodowlę kaktusów, a ojciec jest pilotem śmigłowca i przygotowuje informacje o ruchu drogowym dla stacji telewizyjnej w Phoenix.

- Masz nieaktualne informacje - zauważył, obrzucając ją surowym spojrzeniem. - Ojciec przeszedł niedawno na emeryturę.

- Czy to on nauczył cię obsługiwać helikopter?

- Tak, kiedy byłem chłopcem.

- Miał nadzieję, że pójdiesz w jego ślady? - ciągnęła.

- Nie - odparł z westchnieniem, już znacznie łagodniejszym głosem. - Bardziej interesowała mnie dziedzina, którą zajmowała się



matka, botanika. Napisałem pracę magisterską z ochrony środowiska. Sprawilem tym mamie dużą przyjemność. Nie zamierzałem się jednak poświęcić hodowli kaktusów, podobnie jak nie chciałem przekazywać komunikatów o ruchu ulicznym w godzinach szczytu. Zatrudniłem się więc w parku. Szukałem pracy, w której mógłbym latać helikopterem i pracować na świeżym powietrzu.

- To chyba niemożliwe - zauważyła Andrea. - Latałam przez pięć lat, więc wiem coś na ten temat. Tych rzeczy nie da się połączyć.

- A jednak. Sporo latam w czasie szczytu sezonu, a pozostałe miesiące spędzam w terenie. Szkolenie stanowi ważną część moich obowiązków.

- Od jak dawna jesteś strażnikiem?

- Od dziesięciu lat. Zacząłem tu pracować zaraz po studiach.

Powinien więc mieć około trzydziestu dwóch lat, obliczyła w myśli.

- Czy w przyszłości też będziesz wykonywał ten zawód?

- Za dużo pytań. Powinnaś się raczej skoncentrować na drodze, a nie na mojej osobie.

Andrea oblała się rumieńcem na tę uwagę. Wypytywała go bezwstydnie, co zwykle poczytywała innym za gruby nietakt. Co gorsza, uświadomiła sobie nagle, że osiołek to tylko wymówka. Marlowe po prostu ją interesował.

Zmieszana odwróciła od niego wzrok i postanowiła na przyszłość ograniczyć się tylko do tematów służbowych. Utkwiła spojrzenie w wąwozie, podziwiając zapierającą dech kolorystykę skał. Jaskrawe czerwienie, złocistości, odcienie purpury...

- Jak tu pięknie. Myślę, że to najpiękniejsze miejsce na świecie. Kurt zatrzymał się nagle i odwrócił do niej. Nic daj się zwieść urokom Kanionu. Bywa śmiertelnie niebezpieczny.

Andrei przeszły ciarki po plecach, ale postanowiła, że niczego po sobie nie pokaże.

- Wiem. Widziałam, co przydarzyło się osiołkowi.

- Ja mówię o śmierci, pani Claybourne. Ludzie giną w tym Kanionie. Nie zwierzęta, lecz ludzie.

Andrea ze zdumieniem dostrzegła pasję w głosie Kurta. Śmierć człowieka jest zawsze czymś strasznym, ale w końcu tak doświadczony strażnik jak on powinien zdążyć się już z nią oswoić. Spojrzała mu prosto w oczy. Na miejscu chłodnego opanowania dostrzegła trudne do odczytania emocje. Nagle wydał jej się kimś obcym.

- Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny -wyjaśnił z goryczą. - Sara Wolf była moją żoną.

RS

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

- Kurt - powiedziała Andrea, zwracając się po raz pierwszy do niego po imieniu. - Przepraszam. Nie wiedziałam.
- Dziwne. Jest to bowiem powszechną tajem

Zastanawiała się, czy zdołałby uratować Sarę, gdyby znalazł się na miejscu wypadku, i czy robił sobie z tego powodu wyrzuty. Współczuła obojgu, a jednocześnie odczuwała coś na kształt zazdrości. Zazdrościła im tego, co ze sobą przeżyli, łączącego ich uczucia. Poczła nagle dojmującą tęsknotę i uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna.

Żaden jej związek z mężczyzną nie trwał długo. Piloci, z którymi się czasami umawiała, zachowywali się w życiu prywatnym równie apodyktycznie, jak na pokładzie samolotu. Jeszcze gorzej było, gdy spotykała się z kimś spoza branży. Wtedy automatycznie traktowano ją jak łatwą zdobycz.

Dosyć już miała mężczyzn uważających ją za słodką idiotkę, którą łatwo zaciągnąć do łóżka. Dlatego też przykro jej było, że Kurt nie chce się z nią zaprzyjaźnić.

- Jak sobie radzisz?

Nagle pytanie wyrwało ją z rozmyślań.

- Świe... świetnie.

- Jesteśmy prawie przy Indiańskich Ogrodach, w połowie drogi.

z ęłśęŻ

nęśę

unikam zamkniętych pomieszczeń.

- Mogę obiecać, że w przyszłym miesiącu będziesz miała pod dostatkiem świeżego powietrza. - To mówiąc uśmiechnął się do niej. Był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jakim ją obdarzył. Twarz Kurta zmieniła się nagle nie do poznania i Andrea znów poczuła, że ulega jego urokowi. Należał do przystojnych mężczyzn, ale gdy się uśmiechał, jego urok był wprost zniewalający. Nieczęsto to się chyba jednak zdarzało od czasu śmierci Sary. Choć upłynęły już dwa lata.

Tym razem uśmiech świadczył o zaakceptowaniu Andrei. Nie była już dla niego stewardesą, ale koleżanką.

W stacji czekała na nich inna para strażników. Kurt dokonał prezentacji, gdy usiedli we czwórkę do obiadu. Instruktor o imieniu Dan, Andrea widziała po raz pierwszy, za to z Judy zdążyła już zamienić kilka słów w czasie szkolenia teoretycznego. Dziewczyna ze swym wesołym usposobieniem zdołała przełamać nawet rezerwę Andrei.

Teraz jednak wcale nie była wesoła. Kształtny, piegowaty nos poparzony był od słońca, a krótkie włosy skleione potem. Niewiele się także odzywała, w przeciwieństwie do Dana, który był nad wyraz rozmowny.

- Jak idzie twojej podopiecznej? - zapytał Kurta ze wzrokiem utkwionym w Andreę.

Andrea zignorowała wyraźne zainteresowanie Danii. Gdyby nawet nie zaprzętało jej szkolenie, wyeksponowane przez instruktora Judy potężne muskuły nie zrobiłyby na niej pożądanego wrażenia. Pozostawała także nieczuła na jego zalotne spojrzenia.

- Na razie całkiem nieźle - odparł ostrożnie Kurt.

- Andrea wygląda lepiej niż nieźle. Wprost fantastycznie! Judy, mogłabyś wziąć od niej kilka lekcji

- pochwalił Dan, mrugając do Andrei.

Judy cała się skurczyła pod wpływem tej uwagi. Wydawała się jeszcze bardziej wymizerowana. Andrea poczuła, jak wzbiera w niej złość.

- Judy i ja mamy być tutaj oceniane nie na podstawie wyglądu,

ale naszych osiągnięć - oświadczyła z lodowatym uśmiechem.

- Jako była stewardesa powinnaś być chyba przyzwyczajona do komplementów.

- Teraz mówi się asystentka pokładowa, a nie stewardesa - wtrącił Kurt.

Andrea uśmiechnęła się nieznacznie, zadowolona ze sprostowania Kurta; kiedy jednak Dan po raz drugi mrugnął do niej znacząco, z trudem pohamowała wybuch gniewu. Nie mogłby chyba być bardziej wymowny, wymachując kluczem od swego pokoju.

- Gdyby tylko zechciał pan skoncentrować przez chwilę uwagę na swej podopiecznej - wycedziła Andrea - zauważyłby pan na pewno, że z trudem się porusza. A to dlatego, że ma na stopach pęcherze.

Przy stole zapanowała cisza. Judy z miną winowajczynie spuściła głowę.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał Dan z niemiłym wyrazem twarzy.

- Dan, osiodłaj dwa muły - polecił Kurt. - Musicie wracać na górę. Judy nie może chodzić w takim stanie.

- Mam nadzieję, że Judy sobie poradzi - powiedziała Andrea z troską w głosie, gdy muły ruszyły w górę szlakiem Jasnego Anioła. - Nie zostanie chyba zwolniona, prawda?

- Nie z powodu pęcherzy - zapewnił. - A propos, chciałbym teraz obejrzeć twoje nogi.

- Nie bądź śmieszny. Moje nogi są w doskonałym stanie. Czy nie powinniśmy raczej ruszać dalej? Jest już po pierwszej, a mamy za sobą dopiero połowę drogi.

- Usiądź i zdejmij buty. Czy może wolisz, żebym ja to zrobił?

- W porządku - westchnęła z rozdrażnieniem. Opadła na stołek, rozwiązała but i zsunęła skarpetkę.

- Proszę - powiedziała, unosząc nieco lewą stopę. - Zadowolony?

Kurt ujął ją za kostkę i przyjrzał się uważnie stopie, po czym przeniósł na Andree zdumione spojrzenie.

- Co ty robiłaś tymi stopami?



- To co robi asystentka pokładowa w butach na wysokich obcasach i w cienkich nylonowych pończochach.

Kurt przesunął palcami wzdłuż zrogowaciałych brzegów wyjątkowo dużej blizny.

- Wygląda na to, że kilka miejsc jest zainfekowanych. To musi boleć - zauważył potrząsając głową.

Andrea wzruszyła ramionami i schowała stopę zakłopotana, a jednocześnie dziwnie wzruszona delikatnymi muśnięciami ręki Kurta.

- Mogę cię zapewnić, że druga stopa jest równie odporna na pęcherze. Wędrówka szlakiem górskim to nic w porównaniu z moją poprzednią pracą.

- Dlaczego to robiłaś? Dlaczego po prostu nie odeszłaś?

- Ponieważ byłam młoda i pełna zapału. Bo miałam dosyć szkoły i domu. Chciałam podróżować, nawiązać nowe przyjaźnie i spotkać księcia na białym koniu. Obolałe nogi były ceną, którą gotowa byłam wtedy zapłacić.

- A teraz?

- Z wyjątkiem obolałych nóg wciąż pragnę tego samego. - Andrea zasznurowała but i wstała.

- Nawet księcia na białym koniu?

Na to pytanie nie ośmieliła się odpowiedzieć, szczególnie że wymarzony książę zdecydowanie zaczął przybierać rysy twarzy obecnego instruktora.

- Jestem gotowa do drogi.

Kurt przymrużył powieki. Bez względu na to, co sobie pomyślał o nagłym zakończeniu rozmowy, nie drążył dalej tematu.

Reszta wędrówki upłynęła bez przeszkód.

Było już późne popołudnie, kiedy dotarli do położonego nad rzeką Kolorado schroniska Pipe Creek. Andrea usiadła w cieniu i zamknęła oczy, wystawiając z rozkoszą twarz na chłodny powiew znad rzeki. Wiedziała, kiedy podszedł Kurt, żeby usiąść tuż obok. Zdawała się być szczególnie wyczulona na jego obecność.

- Jak się miewasz? - zapytał

- Dobrze. Powietrze jest tutaj takie świeże. W samolocie zawsze panował zaduch; szczególnie trudny do zniesienia był dym papierosowy w czasie ośmiogodzinnych lotów za ocean. Męczyło mnie już samo oddychanie.

- Ale teraz nie czujesz się zmęczona?

- Och, nie. Wcale - odparła, wdychając z przyjemnością rześkie powietrze.

- Mamy jeszcze przed sobą kawałek drogi - poinformował Kurt.

- Musimy przepłynąć się na drugą stronę rzeki. Do mostu zostały nam ponad trzy kilometry. Dasz radę?

- Mogę wyruszyć w każdej chwili. Powiedz tylko kiedy.

Skinął głową, po czym wstał i wyciągnął rękę. Andrea utkwiała w niej zdumione spojrzenie, które przeniósła po chwili na Kurta.

- Czy pomaganie mi nie kłóci się aby z twoim pierwotnym postanowieniem? Sądziłam, że nie zamierzasz dawać mi żadnych forów.

- Może zmieniłem zdanie.

Andrea rozmyślnie założyła ręce na piersi i dalej siedziała na ziemi.

- Dlaczego?

- Bo już pierwszego dnia pracy zauważyłaś, że ktoś potrzebuje pomocy, co ja przegapiłem. Judy mogłaby ulec wypadkowi, za który ponosiłbym winę razem z Danem.

- Czy przyznajesz, że się pomyliłeś? - zawołała.

- Tak.

- Udzielenie pomocy Judy należało do moich obowiązków. Z tego powodu nie należy mi się specjalne traktowanie.

- To prawda. Ale należy ci się za to, że pokazałaś Danowi, gdzie jest jego miejsce i że zrobiłaś to z klasą. Kurt skinął głową z wyraźną satysfakcją. - To liczy ci się na plus. Nie po raz pierwszy Dan próbował zabawiać się w Romea w stosunku do stażystki. Niestety, pracuje tu niewiele kobiet i niektórych panów nagłe pojawienie się przedstawicielki płci pięknej najwyraźniej bardzo rozprasza. Ale na przyszłość Dan dobrze się zastanowi, zanim znów zaniedba Judy -

powiedział nie cofając ręki.

Andrea podała dłoń i pozwoliła, żeby Kurt pomógł jej wstać.

- Przyznajesz więc, że asystentka pokładowa może się ha coś przydać?

- Chciałaś powiedzieć była asystentka. Może mimo wszystko zdobędziesz tytuł strażnika. Judy miała szczęście, że znalazła się w pobliżu.

Andrea znowu poczuła wewnętrzne ciepło, takie sumo jak wtedy, gdy Kurt się do niej po raz pierwszy uśmiechnął. Cofnęła niechętnie rękę, udając, że poprawia coś przy plecaku.

- Cieszę się, że nie należysz do mężczyzn, którzy oceniają kobietę tylko po wyglądzie.

- Zawsze bardziej pociągał mnie umysł niż uroda, pani Claybourne, choć natura najwyraźniej nie poskąpiła pani ani jednego, ani drugiego. Gdyby nie Sara, rywalizowałbym z Danem o panią.

- Żartujesz? - wyjąkała zaskoczona. Cisza.

Andrea przełknęła z trudem. W co się też najlepszego wpakowała?

- Chodźmy, robi się późno.

Wydała westchnienie ulgi, gdy Kurt ruszył szlakiem w dół. Przez chwilę poczuła się jak początkująca stewardesa, która ze wstrząsem przyjmuje pierwsze męskie zaloty.

Przywykła do płytkich mężczyzn, którzy potrafią tylko się przechwalać. Była pewna, że Kurt do nich nie należy. Niestety, nie miała doświadczenia, jak z nimi postępować. Z mężczyznami, którzy dobrze wiedzą, czego chcą, odznaczają się odwagą i kierują honorem. Byli dla siebie stworzeni.

I to ją właśnie martwiło...

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

„Zawsze bardziej pociągał mnie umysł niż uroda, choć najwyraźniej natura nie poskąpiła pani ani jednego, ani drugiego. Gdyby nie Sara...”

Dwa tygodnie później Andrea wciąż rozpamiętywała słowa Kurta, poruszona nimi do głębi. Od kiedy uniknęła cudem śmierci w katastrofie, rzuciła się energicznie - może zbyt energicznie - w wir życia. Teraz zadręczała się swoim uczuciem do Kurta.

Nie dawała jej spokoju niepewność, czy jest ono odwzajemnione. Czy wymieniając imię zmarłej żony chciał ją ostrzec? Była na tyle rozsądna, by wziąć pod uwagę i tę ewentualność.

Uznała, że najlepiej będzie nie wracać do tego tematu. Starła się ograniczyć rozmowy tylko do spraw służbowych.

Zaczęła zwracać także baczną uwagę na zachowanie Kurta wobec innych. Zauważyła, że kiedy obcował z turystami na szlaku, nie był tak rozmowny ani przyjacielski jak ona. Rekompensował to jednak z nawiązką troską o ich bezpieczeństwo.

Dla innych strażników był przede wszystkim profesjonalistą w każdym calu. Koledzy niezwykle cenili sobie jego zdanie, którym zresztą chętnie się z nimi dzielił. Nie uchodził może za wesołego kompana, ale wzbudzał ogromny podziw - a już na pewno cieszył się nim u Andrei. Mimo to bywał denerwujący.

- Gdyby to ode mnie zależało, ograniczyłbym liczbę zwiedzających Wielki Kanion — powiedział do niej pewnego dnia.

- Chyba żartujesz!

Bynajmniej. Jest to, oczywiście, moje prywatne zdanie, a nie coś, czym należałoby się dzielić z przyszłymi strażnikami parku. - Kurt zatrzymał się w ocienionym miejscu i zaczekał na Andreę. Usiedli.

- Naprawdę ograniczyłbyś liczbę turystów?

- Dlaczego nie? Stosuje się to w niektórych większych parkach. W sezonie zjawia się tu czterdzieści tysięcy osób dziennie. Mamy korki uliczne, zakłócenia w ruchu lotniczym, brakuje miejsc na

parkingach, w hotelach i restauracjach.

- Ale dzieje się tak jedynie w lecie, prawda?
- Skutki zniszczenia, jakiemu ulega w tym czasie Kanion, są odczuwalne przez cały rok, Andreo! Czy wiesz, że dwa z czterech ściśle chronionych gatunków roślin zupełnie wyginęły?
- Nie wiedziałam o tym - odparła niechętnie.
- Te dwa, które ocalały, może w każdej chwili spotkać podobny los. Wpuszczanie na teren parku tylu ludzi jest szkodliwe dla środowiska. Powinnaś o tym wiedzieć. Czy nie mówiono wam w czasie szkolenia, żebyście dezynfekowali wodę do picia?
- Tak, mówiono nam o tym.
- Nie zawsze tak było. To tłumy turystów zanieczyściły Kolorado i jej dopływy. Teraz woda nie nadaje się do picia bez dezynfekcji.
- Przyznaję, że wyrządzono środowisku wielką szkodę. Nie można jednak zamknąć Kanionu! Pozbawiłbyś wtedy cały stan dochodów, a ludziom uniemożliwił obejrzenie jednego z najpiękniejszych miejsc na świecie. Nie można także zakwalifikować Kanionu do parków narodowych, bo pozbawiłoby się go tym samym rządowych funduszy.
- Kanion obywatel się bez nich przez całe lata - argumentował Kurt.
- Tak. I jak dowiedziałam się z teorii, zdewastowano ruiny indiańskie, a dziczące osły naruszają kruchą równowagę świata roślin. Ludzie jednak i tak przybywają do Kanionu. Rząd zapewnia przynajmniej jakąś kontrolę w postaci straży parku.
- To niezwykle idealistyczne spojrzenie - stwierdził z irytacją Kurt. - I bardzo popularne w tym rejonie. Osobiście uważam jednak, że im mniej dopuści się osób, tym lepiej.
- Dziwię się więc, że nadal tu pracujesz. Odpowiedź Kurta była zaskakująca.
- Wielokrotnie proponowano mi pracę w Zespole Ochrony Środowiska Naturalnego Kanionu. Badania nad środowiskiem to moja specjalność, a jak wiadomo Wielki Kanion bardzo potrzebuje

ochrony. Nie mogę powiedzieć, że propozycja nie była kusząca, ale...  
- przerwał, potrząsając głową.

- Ale co?

- Ktoś musi też chronić zwiedzających Kanion. A ja wiem, że potrafię to robić - oświadczył z ciężkim westchnieniem. - Czy powiedzieli ci na kursie, ile mieliśmy ofiar wypadków w ubiegłym roku?

- Nie pamiętam. Sto? - zaryzykowała.

- Mylisz się. Ponad tysiąc.

- Tysiąc? - Była to oszałamiająca liczba.

- Tak. Około dziewięciuset z nich przyciągnęły muły, sto trafiło na pokłady helikopterowe, dziesięć wynieśliśmy na noszach, a pięć - przypadki utonięcia z powodu nadużycia alkoholu - skończyło w plastikowych workach. - Kurt zerknął na pełną niedowierzania twarz Andrei. - Co gorsza, te liczby powtarzają się co roku. Możesz zapytać o to każdego strażnika.

- Wierzę ci - powiedziała Andrea po chwili milczenia. - Ale mimo to nadal nie zgadzam się z twierdzeniem, że trzeba ograniczyć liczbę zwiedzających. To tak jakby pozabierać z muzeów wielkie dzieła sztuki i schować w piwnicach. Ludzie mają prawo cieszyć się pięknem.

- A czy mają też prawo narażać siebie na śmiertelne niebezpieczeństwo, niszczyć świat flory i fauny, zanieczyszczać wodę?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego jednak wszyscy mają cierpieć z powodu kilku nieodpowiedzialnych osób?

Kurt wstał nagle z wyrazem rozgoryczenia na twarzy.

- Powinienem był wiedzieć, że nie należy dyskutować o problemach środowiska z... - tu nagle urwał.

- Z byłą stewardesą? Z kimś, kto zajmował się obsługą turystów?

- Tego nie powiedziałem - odparł pośpieszenie Kurt.

- Ale tak pomyślałeś! - Andrea wstała szybko, nie chcąc pokazać, jak bardzo czuje się dotknięta.



- Andreo, nic nie rozumiesz!

- Mylisz się. Doskonale rozumiem. Jestem wystarczająco rozgarnięta, żeby poradzić sobie z nachalnym Danem, ale nie na tyle, aby mieć własne zdanie. - Przy ostatnich słowach głos prawie jej się załamał. Ale z niej idiotka! Powinna wiedzieć, że tak naprawdę Kurt wcale jej nie zaakceptował.

- Andreo, zaczekaj! - zawołał, gdy ruszyła szlakiem nie oglądając się na niego.

- Dlaczego? Czyżbyś, obawiał się, że głupia stewardesa zabłądzi? - rzuciła przez ramię nie zwalniając kroku. - Chodzę tym szlakiem już od dwóch tygodni i znajdę drogę powrotną bez twojej pomocy.

- Czy możesz zwolnić? Złamiesz nogę, zobaczysz! - krzyknął, ruszając biegiem, żeby ją dogonić. - Nie chciałem cię urazić - powiedział, chwytając ją za ramię.

- Nie pochlebiaj sobie. Jestem wściekła, to wszystko.

- Nie chciałem, żeby jedno nieopatrzone słowo popsuło naszą współpracę. Przyjmij, proszę, moje przeprosiny.

- Wolałabym, żebyś pozwolił mi powiedzieć, co myślę na temat Kanionu. - Andrea starała się za wszelką cenę zachować spokój.

- Nie masz racji, Andreo.

- Ten Kanion należy do każdego, a nie tylko do ciebie.

- Ale ja wiem, co jest dla niego najlepsze.

- W takim razie, im szybciej przyjmiesz pracę w Zespole Ochrony Środowiska, tym lepiej. Wydaje mi się, strażnikowi Marlowe, że jesteś po niewłaściwej stronie barykady.

- Być może, ale na pewno nie musi mi tego mówić byle stażysta. - To powiedziawszy ruszył gniewnie przed siebie, zostawiając Andreę własnemu losowi.

Po chwili, cała roztrzęsiona, ruszyła jego śladem. Mieli umówione spotkanie z Judy i Danem w Phantom Ranch.

Phantom Ranch było jedynym miejscem na dole, w którym mogli zatrzymać się zarówno turyści, jak i strażnicy. Były tu tanie miejsca noclegowe na zbiorowych męskich i żeńskich salach wyposażonych



w prysznic, a jeśli ktoś szukał większych wygód, mógł wynająć domek kempingowy.

Zarówno turystom, jak i mułom, zejście w dół Kanionu zajmowało cały dzień, powrót wymagał kolejnego dnia. Phantom Ranch było zatem idealnym miejscem na nocleg; tu też zaplanowali postój Kurt i Andrea.

Obydwoje potrzebowali odpoczynku. Zeszli szlakiem Jasnego Anioła, podczas gdy Judy ze swoim instruktorem przybyli szlakiem Kaibab na mułach. Rankiem mieli się zamienić; Andrea i Kurt planowali wjechać na górę z karawaną mułów, a Dan i Judy wspinać się pieszo.

Tymczasem postanowili spędzić noc w Phantom Ranch. Na szczęście o tej porze roku mogli jeszcze wynająć domki: jeden dla panów i jeden dla pań.

Andrea dotarła do schroniska z ciężkim sercem. Bardzo cieszyła się na pierwszą przejażdżkę mułem, teraz jej entuzjazm prysnął. Poweselała nieco na widok zwierząt w zagrodzie. Judy już tu jest. Miło będzie zamienić z kimś parę słów, szczególnie jeśli ten ktoś pozwala na wyrażanie szczerych opinii. Pośpieszyła do przydzielonego jej domku, skinąwszy chłodno głową Kurtowi, który obserwował ją z progu swojej kwatery.

- Witaj, Judy. Miło cię znowu spotkać! - zawołała śpiewnym głosem. - Nie widziałam cię od czasu twojej ostatniej przejażdżki mułem.

- Nie przypominaj mi - jęknęła Judy. Leżała wyciągnięta na łóżku. - Byłam obolała w najwrażliwszych miejscach, które zresztą poważnie ucierpiały i tym razem. - Judy przesunęła się i pomasowała siedzenie. - Na szczęście to ty jutro pojedziesz na tych cuchnących potworach, a nie ja.

- A co byś powiedziała na długą przyjemną kąpiel? - zaproponowała Andrea. - Jeżeli się pośpieszymy, możemy ubiec innych. Znam skrót do sadzawki.

- Naprawdę? - zdziwiła się Judy.

- Tak. To zdecydowanie jedna z dobrych stron pracy w straży

parku: zna się wszystkie szlaki. Masz kostium, prawda?

Judy skinęła głową.

- Przebierzmy się więc szybko. Cała lepię się od brudu.

- Już idę, tylko łyknę aspirynę.

I rzeczywiście miały sadzawkę tylko dla siebie.

- Jak dobrze, że nie trzeba walczyć o miejsce pod prysznicem - przyznała Judy, polewając plecy wodą.

- Wolę zaoszczędzić resztę energii, by dowlec się do łóżka.

- To dziwne, że wciąż tak się męczysz. Myślałam, że patrole drogowe pozwolą ci oszczędzać nogi. Czy stopy jeszcze cię bołą?

- Nie. W przeciwieństwie do ciebie nie uprawiałam przez dwa tygodnie pieszych wędrówek, lecz siedziałam w jeepie. Nie jestem jeszcze w formie.

- Najwyraźniej. - Andrea rozpuściła włosy, które sięgały talii. - Niedługo weekend, będziesz więc miała okazję wypocząć.

- Niestety, muszę pracować. A ty nie? - zapytała Judy, obrzucając Andree zaciekawionym spojrzeniem.

- Nie. Nigdy nie pracuję w weekendy.

- Nigdy? - powtórzyła jak echo koleżanka. - Ale wtedy właśnie panuje w parku największy ruch. Pracują wszyscy stażyści.

- Zabawne, ale ja mam w tym czasie wolne.

- Szczęściara - powiedziała z zazdrością Judy. - Ja mam wolne w ciągu tygodnia i nie są to bynajmniej dwa dni z rzędu.

- Zawdzięczam to pewnie Kurtowi, który w weekendy nigdy nie pracuje - wyjaśniła Andrea. Nagle zaciekawilo ją, gdzie też Kurt spędza dni wolne.

- Andreo?

Andrea zdała sobie sprawę, że nie słucha i niechętnie oderwała się od rozmyślań nad sposobem spędzania przez Kurta weekendów. Ale to w końcu nie jej sprawa.

- Przepraszam, Judy. Bujałam myślami w obłokach. A skoro już mówimy o instruktorach, jak cię Dan teraz traktuje?

- Nie najgorzej - odparła Judy z uśmiechem. - Dzięki Kurtowi bardzo na mnie uważa i służy pomocą. Szkoda tylko, że nie

wyperswadowałam mu dzisiejszej przejażdżki na mułach. Czy wiesz, że muły idą samym skrajem szlaku widokowego?

- Tuż nad przepaścią? Judy skinęła głową.

- Tak. Obojętne, ile razy będziesz je odciągała, i tak będą szły tuż przy krawędzi. Przewodnik karawany twierdzi, że nic na to nie można poradzić.

- Dziwne. Zastanawiam się, dlaczego.

- Muły mają oczy po bokach łba - wyjaśniła posępnie Judy. - Ściana wydaje im się przeszkodą, dlatego się od niej odsuwają. Wiem, bo pytałam.

- No cóż, mam nadzieję, że drugie oko muła widzi przepaść. Nigdy nie słyszałam, żeby jakikolwiek muł spadł ze szlaku, nawet ze szlaku widokowego, więc... - tu Andrea wzruszyła ramionami - ...nie zamierzam się martwić.

- To było okropne, Andreo. Mam lęk wysokości.

- Masz lęk wysokości? - Andrea była zaskoczona.

- No, nie zawsze. Po prostu... tylko wtedy, gdy siedzę na mule, który zbliża się do krawędzi urwiska

- wyjaśniła Judy, drżąc wyraźnie na całym ciele.

- Nie jesteś zadowolona z tej pracy, Judy? - zapytała łagodnie Andrea, zanurzając ręce w wodzie.

- Ja... to nie jest takie proste - odparła koleżanka, siląc się na uśmiech. - Może kiedy się przyzwyczaje.

- Zawsze możesz zrezygnować i wrócić do banku. Taka inteligentna dziewczyna jak ty ma wiele możliwości.

- Zbliża się pora kolacji, umówiłam się z Danem w stołówce. Przyłączysz się do nas?

- Nie, zostanę tu jeszcze chwilę. - Andrei ciągle nie dość było świeżego powietrza. - Zobaczymy się w domu, dobrze?

- W porządku.

Odprowadziła koleżankę wzrokiem. Biedaczka, pomyślała ze współczuciem, wyciągając nogi i odchylając do tyłu głowę. Woda opływała ją łagodnie w talii i poruszała koniuszki włosów.

Jak można traktować pracę w takim miejscu jako zło konieczne?

Podniosła wzrok na okrywające się purpurą ostatnich promieni słonecznych ściany Kanionu, na wyniosłe grzbiety, które rzucały czarne cienie na czerwone skały. Półtora kilometra wyżej bladły gasnące promienie słońca; odbijały się od wody, pokrywając ją maleńkimi gwiazdkami.

- Nigdy stąd nie odejdę. Przenigdy. Z rozmarzenia wyrwał ją głos Kurta.

- Nie będziesz jadła kolacji?

Podniosła głowę i zobaczyła, że Kurt zdążył się już przebrać, a sądząc po wilgotnych włosach także wziąć prysznic.

- Oczywiście, że będą - odparła, siadając prosto. - Kiedy?

- Może później. Judy zaproponowała, żebyśmy zjedli razem z nimi, więc możesz pójść beze mnie. Dan na pewno czeka. - Andrea postanowiła zachowywać się w stosunku do Kurta neutralnie i nie wychodzić poza stosunki służbowe. W rezultacie jej odpowiedź zabrzmiała nieco szorstko.

Kurt się tym jednak nie zraził. Zamiast odejść, usiadł na jednym z większych głazów nieopodal sadzawki.

- Powiedziano mi już, że moja obecność nie byłaby mile widziana. Wygląda na to, że Don Juan chce pozostać z Judy sam na sam.

Andrea obrzuciła go krótkim spojrzeniem, po czym przeniosła wzrok na ściany Kanionu.

- Powinieneś zjeść z nimi choćby z tego powodu. Judy należy się przerwa.

- No nie wiem. Po burzliwych początkach najwyraźniej ma teraz lepszą opinię o Danie - odparł Kurt, wzruszając ramionami. - Jeśli ma się tylu mężczyzn do wyboru, kobiety prędzej czy później umawiają się z którymś na randkę. Ty jesteś wyjątkiem. Ciebie nie interesuje „biurowy” romans.

- To chyba dobrze, zważywszy moją dawną pracę i nieprzychylny stosunek do ochrony środowiska - odparła z obcym dla siebie sarkazmem.

- Tego nie powiedziałem.

- Być może, ale dałeś mi to wyraźnie do zrozumienia.  
- Przecież cię przeprosiłem - przypomniał. Andrea milczała przez chwilę, wpatrując się smętnie w wodę.

- Do licha, Andreo, spójrz na mnie.

Andrea jednak z uporem nie podnosiła głowy, żałując, że nie trzymała języka za zębami. Zamknęła oczy, po chwili jednak je otworzyła na dźwięk rozpryskiwanej wody. Wkrótce ręce Kurta znalazły się na jej ramionach, unosząc ją do góry, a potem stawiając delikatnie na ziemi.

- Kurt, twoje buty! - krzyknęła. Stał po łydki w wodzie, a ściekające z Andrei krople spływały na jego ubranie. - Zamoczysz się cały! Puść mnie!

W odpowiedzi przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Naprawdę nie chciałem cię urazić.

Ich oczy znalazły się niebezpiecznie blisko. Andrea mogła w nich wyczytać szczerą skruchę. Wkrótce jednak skrucha ustąpiła miejsca czemuś innemu, co było dziwne, słodkie i bardzo niepokojące. Usta Kurta dotknęły jej warg. Zrzuciła mu ramiona na szyję i poczuła, że przytula ją mocno do piersi. Z zamkniętymi oczyma rozkoszowała się pocałunkiem.

Początkowo wydała stłumiony dźwięk protestu, który jednak wkrótce zamarł, kiedy zatopiła się bez reszty w objęciach Kurta. Poczuła, jak jego jedna ręka wędruje wzdłuż jej pleców, a druga zagłębia się we włosach.

Uraza ustąpiła miejsca cudownemu, ekscytującemu uczuciu. Mogłaby tak tkwić w jego ramionach bez końca...

Kurt jednak uwolnił ją z objęć, opuścił ręce i odsunął się nieco. Ze zdumieniem ujrzała na jego ubraniu wyraźnie zaznaczone mokre odbicie swojego ciała. Widok ten był tak sugestywny, tak prowokujący, że musiała odwrócić wzrok, żeby zachować spokój. Kurt mylnie zinterpretował jej zachowanie.

- Andreo, przepraszam. Nie chciałem tego. Nieraz ganiłem kolegów za takie zachowanie. Ja... - Po raz pierwszy zauważyła, że

brakuje mu słów. - Chodzi o to, że... Chciałem po prostu, żebyś wiedziała, że masz prawo do własnego zdania.

Skinęła głową.

- Rozumiem - wydusiła z siebie, nie mogąc się powstrzymać, by na niego nie spojrzeć. - Powiedzmy, że to przez zachód słońca.

A jednak to nie zachód słońca kazał Andrei odpowiedzieć pieszczotą na pieszczotę. Nie sprawił tego nawet zwykły pociąg fizyczny. To było coś innego, coś, czego nie potrafiła jeszcze nazwać. Przyglądała się, jak Kurt wychodzi tyłem z wody, nie odrywając od niej wzroku. Przez chwilę wpatrywali się w siebie zakłopotani. Andrea uznała, że to ona powinna wyprowadzić ich z kłopotliwej sytuacji.

- Skoro już mówimy o własnych poglądach, czy mogę wyrazić następną?

- Proszę.

- Martwię się o Judy. Wiem, że Dan i Jim Stevens najlepiej potrafią ocenić jej możliwości, ale mnie Judy wydaje się taka... taka...

- Jaka?

- Nie wiem. Zagubiona jest tu chyba najlepszym określeniem. Wiem, że sama jestem stażystką i muszę dowieść własnych możliwości, ale martwię się o nią.

- Co chcesz, żebym zrobił, Andreo? Porozmawiał z Jimem?

- Nie - odparła pospiesznie. - Czy mógłbyś jednak poprosić Dana, żeby obserwował bacznie Judy, aż oswoi się z pracą? Sama bym go o to poprosiła, ale nie jesteśmy w najlepszych stosunkach.

- Rzeczywiście nie jesteście. W przeciwieństwie... Przez chwilę myślała, że robi aluzję do tego, co się między nimi wydarzyło.

- Porozmawiam z Danem po kolacji w twoim imieniu - odparł zamiast tego.

Odetchnęła z ulgą, po raz pierwszy przyjmując z zadowoleniem fakt, że Kurt nie lubi się rozwodzić na tematy osobiste.

- Dziękuję. Będę ci wdzięczna.

- A skoro mowa o kolacji, nie zjesz ze mną? Andrea o mało się

nie zachwiała; nie ufała we własne siły w obecności Kurta, szczególnie że wciąż widziała odbicie swego ciała na jego ubraniu. Z powrotem zanurzyła się w wodzie, chcąc powstrzymać drżenie kolan.

- Nie, dziękuję. Popluskam się jeszcze trochę, muszę ochłonać. - To zdanie kryło w sobie także inną prawdę. - Nie czekaj na mnie.

Kurt pochylił się i podniósł z ziemi coś, co leżało w suchym miejscu.

- Przyniosłem ci ręcznik i latarkę - powiedział i położył przyniesione rzeczy obok jej tenisówek.

- Nie musiałeś zaprzętać sobie tym głowy! - Zdumiała ją jego troskliwość.

- Nie chcę, żeby moja stażystka nabawiła się zapalenia płuc albo złamała nogę. Do zobaczenia rano.

Andrea obserwowała jego odejście z mieszanymi uczuciami. Z ulgą, że jego kuszące ramiona nie znajdowały się już w pobliżu, i z żalem - z tego samego powodu.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Uwaga, wsiadamy! - krzyknął przewodnik karawany mułów. - Jeżeli ktoś potrzebuje pomocy, niech podniesie rękę do góry! Nie wstyďte się. Nie każdy musi być obeznany z tymi zwierzętami, a bywają bardzo trudne.

- Ty nie będziesz dzisiaj dla mnie trudny, prawda, kochanie? - Zwierzę zatrzepotało długimi rzęsami, jakby chciało zapytać: „Kto, ja?”. Andrea uśmiechnęła się, pogłaskała przydzielonego sobie muła po nosie i poprawiła popręg.

Dopiero co wzeszło słońce, a już Phantom Ranch tętniło życiem. Przybyli ubiegłego wieczora jeźdźcy wyskakiwali z łóżek i śpieszyli do zagrody dla mułów; wkrótce mieli wyruszyć w drogę powrotną szlakiem Południowy Kaibab. Także Andrea musiała się pakować w pośpiechu. Rozpamiętywanie pocałunku Kurta, niepokój Judy i podekscytowanie w związku z pierwszą przejażdżką na mule sprawiły, że długo nie mogła usnąć.

Tego ranka nie widziała jeszcze Kurta. Mimo pośpiechu, przyłapała się na tym, że szuka go wzrokiem. W końcu to mój instruktor, usprawiedliwiała się w duchu. Powinnam trzymać się blisko niego. Nie natknęła się jednak na Kurta, za to zauważyła w zagrodzie Judy.

- Cześć, Andreo. Próbowałam cię obudzić, ale miałas twardy sen. Cieszę się, że zdążyłaś.

- Ja także. Kurt zrobiłby mi awanturę, gdybym się spóźniła. - To mówiąc, rozejrzała się dookoła. - Nie widziałaś go tu gdzieś w pobliżu?

- Nie. Nie jadł z nami śniadania.

- No cóż, mam nadzieję, że się zjawi. No to powodzenia. Cieszę się, że pojedę na mule.

- Ja tego nie znoszę - odparła Judy, marszcząc nos. - Okropne, cuchnące stworzenia. Do zobaczenia wieczorem na górze.

Andrea pomachała koleżance na pożegnanie z wyrazem

zamyślenia na twarzy. Muły nie cuchną bardziej od innych zwierząt, pomyślała. Przeciwnie, są czyste i zdrowe; lśniąca sierść świadczy o częstym szczotkowaniu. Judy chyba widzi swoją pracę tylko od czarnej strony.

- Nie słuchaj jej, kochany - mruknęła do zwierzęcia, drapiąc je za długimi, jedwabistymi uszami. - Nie wie, co mówi. Ja uważam, że jesteś cudowny.

- Dziwne określenie w stosunku do muła. Andrea rozjaśniła się na dźwięk głosu Kurta.

- Możliwe. - Odwróciła się, żeby go powitać.

- Dzień dobry, szefie.

- Dobrze spałaś?

- Jak niemowlę - skłamała. - Jestem spakowana i gotowa do drogi.

- Czy pomóc ci dosiąść muła?

- Nie, dziękuję. Mam wprawę w jeździe wierzchem.

- Na dowód swych słów odwiązała wodze przytwierdzone do słupka, przełożyła je do jednej ręki, po czym z gracją wskoczyła na siodło. Jej muł stał cierpliwie, strzygąc uszami.

Kurt przyglądał się, jak reguluje długość strzemion.

- Będę dzisiaj zamykał karawanę. Chciałbym, żebyś jechała tuż przede mną, więc przepuść wszystkich.

Andrea skinęła głową, głaszcząc delikatnie zwierzę po karku.

- Coś jeszcze?

- Tak. Muły mają swoje zwyczaje. Odbyły tę podróż wiele razy; nie próbuj więc w czasie jazdy nim kierować. Niech idzie śladami swego poprzednika.

- Rozumiem. To tak jakby naprowadzał muła automatyczny pilot.

- Dokładnie. Wielu początkujących jeźdźców nie może się powstrzymać, żeby nie odciągać muła od krawędzi zbrocza.

- Nie będę tego robiła. Wiem, że lubią się trzymać samego obrzeża szlaku.

- Nie wiedziałem, że mówiono wam o tym w czasie szkolenia -

zdziwił się Kurt, unosząc brwi do góry.

- Bo nie mówiono. Dowiedziałam się od Judy.

- Dan powiedział mi, że była bardzo zdenerwowana.

- Ja nie mam lęku wysokości i nie boję się mułów. Zamierzam odprężyć się i cieszyć przejażdżką. A tak dla ciekawości, powiedz mi, dlaczego nie używa się koni czy choćby osłów? Bardziej sensowne wydawałoby się używanie do tego celu schwytanych w parku dzikich osłów, po oswojeniu, oczywiście.

- Osły są za małe dla większości mężczyzn. Jeśli zaś chodzi o konie, cóż, są zbyt... kochliwe.

- Kochliwe? -

- Tak, a te szlaki są z kolei za wąskie dla pobudliwych ogierów i narowistych klaczy. Muły pochodzą z krzyżówki klaczy z osłem. Są niepłodne i gwarantują spokojną, bezpieczną jazdę. Nigdy nie mieliśmy w Kanonie śmiertelnego wypadku spowodowanego przez muła.

- Dobrze wiedzieć.

- Będę jechał tuż za tobą. W razie czego po prostu krzyknij. Powinnaś mieć rękawice do jazdy. Włóż je.

- Moje ręce, podobnie jak stopy, są odporne na pęcherze - wyjaśniła, ale posłusznie wyjęła rękawice.

Kurt poczekał, aż je nałoży, po czym podszedł szybko do swojego muła. Andrea odprowadziła go wzrokiem. Z żalem stwierdziła, że tego ranka nie wdawał się w osobiste pogawędki. Nie posłał jej nawet tęsknego spojrzenia.

- Uwaga, jedziemy gęsiego. Naprzód! – zawołał przewodnik karawany. Piętnastu jeźdźców ruszyło posłusznie jeden za drugim.

Andrea poprawiła kapelusz przeciwsłoneczny i rozkoszowała się przejażdżką. Podziwiając widoki, nieraz czuła na sobie spojrzenie Kurta. Jeżeli sądzi, że jego stażystka spadnie, to grubo się myli. Co prawda, nie jeździła od lat, ale gdy raz się tego człowiek nauczy, nigdy nie zapomina.

A w przypadku mułów wszystko było o wiele prostsze. Andrea nie musiała patrzeć na drogę, mogła się więc bez reszty oddać

podziwianiu krajobrazu. Kanion oglądany od dołu wydawał się inny, choć jego kolorystyka była równie wspaniała. Szkoda, że regulamin nie przewiduje dodatkowego miejsca w plecaku na aparat fotograficzny. Może uda jej się zrobić kilka zdjęć, kiedy będzie miała wolne.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że przewodnik karawany zarządza postój. Dla pewności zerknęła na Kurta.

Skinął głową.

- Wiem, że trochę za wcześnie na posiłek, ale to jedyne miejsce na postój. Poczekaj, aż przewodnik wyda instrukcje, jak zsiąść.

Kilka minut później Kurt i Andrea jedli niewielki obiad.

- Powinno się to nazywać przekąską, a nie obiadem - zauważyła.

- Lepiej zjeść coś wcześniej niż wcale - odparł Kurt. - Nie można tego robić w czasie jazdy. W ten sposób jest większa szansa, że turyści nie będą zaśmiecali szlaków. Poza tym mniej doświadczeni jeźdźcy powinni skupić się całkowicie na jeździe.

- Zamiast obiadu wolałabym robić zdjęcia. Popatrz tylko na te kolory skał: odcienie różu, zieleni; ten brąz... szkoda, że nie mam aparatu.

- Wszyscy stażyści tak mówią. Po jakimś czasie nauczysz się określać na podstawie koloru skały właściwą warstwę geologiczną.

Kiedy karawana znowu wyruszyła w drogę, spoza porannych chmur wyszło słońce i zalało wszystko niezwykłym blaskiem.

Andrea wygrzewała się przez jakiś czas w ciepłe promieni, wkrótce jednak sięgnęła po manierkę. Upał sprawił, że muły zaczęły poruszać się ospale. Niektórzy jeźdźcy, szczególnie ci bez nakrycia głowy i okularów przeciwsłonecznych, mieli już czerwone, spocone twarze.

Wkrótce i Andrea zaczęła marzyć o skrawku cienia. Niestety, Kaibab był szlakiem widokowym i tak wąskim, że napotkani po drodze turyści nie mogli ich wyminąć, lecz musieli wspinać się powyżej ścieżki, gdzie karkołomnie uczepleni skał czekali na przejście karawany.

- Jak sobie radzisz? - dopytywał się co chwila Kurt.

Na początku Andrea odwracała się, żeby odpowiedzieć; teraz

ograniczała się jedynie do machnięcia ręką. Brak wypoczynku i obezwładniający upał dały o sobie znać. Zmęczona i senna, siłą zmuszała się do koncentracji. Trzeba zachować pozory ze względu na Kurta. Z trudem powstrzymywała ziewnięcie. Chcąc sprawdzić, jak wysoko się wspięli, zerknęła w dół i... znieruchomiła.

W dole, na wąskim występie skalnym, stał człowiek! Widziała jedynie czubek jego głowy. Ogarnięta paniką spojrzała na czoło karawany. Muły zbliżały się do kolejnego zakrętu i, jak wiadomo, nie mogły się cofnąć.

Podjęła błyskawiczną decyzję i ściągnęła wodze. Jednak zwierzę, przyzwyczajone do tego, że zatrzymuje się wraz z resztą karawany, posuwało się naprzód. Andrea szybko zsiadła i wspięła się na skałę, żeby przepuścić muła.

- Co ty, do licha, wyprawiasz? - wrzasnął Kurt, widząc nagle przed sobą puste siodło.

- Tam w dole jest jakiś człowiek! Właśnie go minęliśmy. On potrzebuje pomocy!

Słyszała, jak Kurt krzyczy do przewodnika karawany, żeby się zatrzymał. Wróciła do miejsca, gdzie zauważyła turystę i ostrożnie wychyliła się poza krawędź.

- Hej tam?! Proszę się odezwać!

Na dole coś się poruszyło, po czym zapadła cisza.

Andrea gorączkowo zastanawiała się nad następnym krokiem. W tym miejscu było tak stromo, że niewiele mogła zobaczyć; pole widzenia dodatkowo ograniczała roślinność. Czy powinna poczekać tu na Kurta, czy zejść?

- Proszę mi pomóc, bo spadnę - dobiegł ją słaby męski głos.

Andrea poczuła nagły przyływ adrenaliny.

- Kurt, schodzę w dół! - krzyknęła.

- Ani się waż! To rozkaz! - zawołał w odpowiedzi, ale Andrea zdążyła już zejść ze szlaku. Stała tyłem do przepaści i, przylegając brzuchem do skały, szukała oparcia dla stóp. Schodziła z prawej strony mężczyzny; stąpała ostrożnie, żeby nie zrzucić mu na głowę obłuzowanych kawałków skał.

Żeby znaleźć się przy wąskim występie skalnym, na którym stał turysta, musiała zejść sześć metrów poniżej krawędzi. W przeciwieństwie do Andrei stał plecami do ściany. Pod nim rozpościerała się kilkusetmetrowa przepaść. Zwykły parapet szerszy jest od tego występu, pomyślała, czując ciarki na grzbiecie.

- Cześć! Nazywam się Andrea - powiedziała. Nieszczęśnik zwrócił w jej stronę bladą, zmęczoną twarz. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat.

- Widzę, że zboczyłeś z drogi - zauważyła z uśmiechem.

- Przyszłam, żeby ci pomóc. Jak się nazywasz?

- Mike. Nie czuję się najlepiej.

I nie najlepiej wyglądasz, pomyślała Andrea. Ostrożnie ujęła go za nadgarstek, żeby zbadać puls.

- Co się stało?

- Wchodziłem na szczyt i nagle zakręciło mi się w głowie. Było tak gorąco i... - Tu jego głos się załamał.

- Potknąłeś się i upadłeś? Przygnębiony skinął głową.

- Nie martw się. Jest tu ze mną kolega, zaraz ci pomożemy.

Wyciągniemy cię stąd. - Andrea puściła rękę Mike'a nie dając po sobie poznać zdenerwowania. Szybkie tętno, wilgotna i zimna skóra oraz obfity pot wskazywały na klasyczny przypadek udaru cieplnego. Modliła się w duchu, żeby chłopak nie stracił nagle przytomności.

- Andreo, czy mnie słyszysz? Odbiór.

Andrea sięgnęła po przypiętą do pasa krótkofalówkę.

- Słyszę cię, Kurt. Mamy kłopot. Jest tu ze mną Mike, wiek około dwudziestu lat...

- Dwudziestu jeden.

- Dwudziestu jeden lat - sprostowała. - Poważny przypadek udaru cieplnego. Znajduje się w niebezpieczeństwie - powiedziała przyciszonym głosem. - Musimy go jak najszybciej stąd wydostać. Odbiór.

- Czy twoje oparcie jest w miarę bezpieczne? Odbiór.

- Obydwoje stoimy na niepewnym gruncie - odparła Andrea,



czując, że ziemia osypuje jej się pod nogami.

Na chwilę zapadła cisza. Andrea zerknęła w górę i ujrzała twarz Kurta, który wychylił się, żeby ocenić sytuację.

- Mamy liny. Możemy wyciągnąć go przy użyciu mułów. Odbiór. Mike jęknął, zamykając nagle oczy.

- Lepiej się pośpiesz. On z każdą chwilą czuje się gorzej. Koniec. Andrea sięgnęła po rękę Mike'a i mocno ją ścisnęła.

- Tylko mi tu nie zemdlej - powiedziała bez ogródek. - Chłopak otworzył oczy. - Teraz lepiej. Powiedz mi, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. Czy przyjechałeś tu z rodziną albo z przyjaciółmi?

Udzielenie odpowiedzi na te pytania powinno go trochę zmobilizować, pomyślała.

I rzeczywiście. Po chwili mogła przekazać te informacje przez krótkofalówkę.

- Uważaj, lina już w drodze! - krzyknął Kurt. Andrea znowu uniosła głowę i zobaczyła, jak wzdłuż

ściany Kanionu szybko przesuwa się lina ze specjalną uprzężą. Nie próbowała jej dosięgnąć, bojąc się, że straci równowagę. Poczekala, aż znajdzie się tuż przy niej.

- Oto twój bilet na górę, Mike - powiedziała spokojnie. - Pomogę ci nałożyć uprzęż. Zrobimy to spokojnie i powoli. Nie śpiesz się.

- W porządku. - Twarz chłopaka pobladła jeszcze bardziej.

- Nie patrz w dół, skoncentruj się na tym, co robimy. -

Przemawiając do chłopaka spokojnie i wykonując powolne ruchy, zdołała zapiąć mu uprzęż. Sam na pewno by sobie nie poradził. -

Poszło całkiem dobrze, prawda? Kiedy mój kolega założy blok i szarpnie lekko za linę, chcę, żebyś odwrócił się twarzą do skały. W ten sposób będziesz mógł pomagać sobie rękoma i nogami.

- Dobrze. Dziękuję.

Uśmiechnęła się dla dodania mu odwagi i uniosła kciuk w górę.

- Już jest gotów - powiedziała włączając krótkofalówkę.

-Powodzenia, Mike. Do zobaczenia na górze.

Muły ruszyły naprzód i chłopak zaczął się unosić nierównymi zrywami. Odetchnęła z ulgą, widząc, że turysta wkrótce będzie już



bezpieczny. Po chwili zajęła jego miejsce na występie skalnym, czując, że stoi na niepewnym gruncie. Uczucie ulgi zniknęło, kiedy i to oparcie zaczęło usuwać jej się spod nóg.

Występ był bardzo kruchy, zbyt kruchy, aby mogła na nim pozostać. Rozejrzała się nerwowo dookoła. Nie może wspiąć się na górę, ale może za to zejść w dół. Trzy metry niżej, po prawej stronie jest półka skalna. I znowu doszedł ją odgłos osypującej się ziemi. Przygryzła wargę; trzeba się stąd jak najszybciej ruszyć.

Ostrożnie zeszła z występu i poruszając się trochę po omacku opuściła nieco w dół, odbijając w prawo. Dotarła do nowego miejsca, w chwili gdy Mike znalazł się na górze. Dla równowagi chwyciła gałąź pobliskiego krzewu.

- Dobra robota, Kurt - powiedziała głośno, patrząc, jak w asyście dwóch mężczyzn pomaga Mike'owi wydostać się na górę. Odchyliła nawet nieco bardziej głowę, żeby zobaczyć, czy turysta jest już na szlaku. W tej samej chwili odpadł występ skalny, na którym przed chwilą stała.

Odłamki skał zaczęły spadać z hukiem w dół Kanionu. Andrea przywarła mocno do gałęzi i osłoniła głowę, zamykając oczy. Dookoła sypała się ziemia, kilka drobnych odłamków uderzyło ją w ramiona. Jeden z większych kawałków skały trafił w kapelusz strącając go w dół; osłoniła głowę ramieniem. Po chwili niewielka lawina znajdowała się już na szczęście pod jej stopami.

Andrea zakasłała, po czym otarła zakurzoną twarz drżącą ręką. Gdyby nie zeszła stamtąd w odpowiednim czasie, leżałaby teraz wraz z odłamkami skał na dnie Kolorado. Dygocąc na całym ciele, oparła się z całej siły o skałę i zaczerpnęła kilka głębszych oddechów.

Dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, że ktoś ja wzywa przez radio. Zamrugła, czując piach w oczach i nagle doszły do niej rozdzierające krzyki z góry.

- Andreo... Andreo... Jesteś tam? Odbiór.

Kto to może być, zastanawiała się oszołomiona.

- Andreo, tu Kurt. Czy mnie słyszysz? No, odpowiedz, kochanie.

Znowu zamrugnęła oczami i sięgnęła do pasa po nadajnik. To naprawdę Kurt? Głos był tak zmieniony, że ledwo go mogła rozpoznać.

Ją także głos zawodził.

- Tu Claybourne. Odbiór - odparła nieco piskliwie.

- Andreo... - Usłyszała swoje imię, po czym zapadło długie milczenie. Potrząsnęła krótkofalówką, bojąc się, że uszkodził ją któryś z odłamków.

- Jesteś tam? Odbiór - powiedziała naciskając gorączkowo na przyciski.

- Tak, jestem. Jak poważnie jesteś ranna? Ranna? Przecież wcale nie jest ranna; ma zaledwie

kilka stłuczeń. Nagle zrozumiała niepokój Kurta.

- Kurt, zdążyłam przesunąć się na nowy występ skalny, zanim tamten runął.

- Przesunęłaś się? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak. Poczułam, że stoję na niepewnym gruncie, więc zesłam w dół. Spadł mi kapelusz, ale poza tym czuję się świetnie.

- Czujesz się świetnie? - W głosie Kurta niedowierzanie mieszało się z ulgą.

- No, może niezupełnie. Znalazłam się w potrzasku. Czy możesz mnie stąd wydostać? Odbiór.

- Gdzie jesteś? Odbiór.

- Około czterech metrów poniżej tamtego miejsca. I nieco bardziej w prawo. Mam tuż nad sobą jakiś duży krzak. Odbiór.

- Jaki krzak? Odbiór.

- Skąd mogę wiedzieć? Robiłeś mi dzisiaj wykład z geologii, a nie z botaniki - odparła urażona, po czym wyłączyła się bez słowa. O mało nie zginęła, a jego obchodzą tylko nazwy krzaków.

- Jeżeli nie opiszesz dokładnie miejsca, w którym jesteś, nie będę mógł spuścić liny - wyjaśnił z irytującą logiką. - Widzę, że trzeba popracować nad twoją znajomością botaniki oraz nad sposobem porozumiewania się przez krótkofalówkę. A teraz opisz miejsce, w którym się znajdujesz. Odbiór.

- To jakiś krzew zimozielony. Rośnie obok purpurowego występu skalnego. Niestety, nie potrafię powiedzieć, co to za skała ani z jakiego okresu geologicznego pochodzi. Odbiór.

- Teraz cię widzę. Uważaj, zaraz spuścimy linę. Będę musiał przejść na stronę *manzanity*, bo tak się nazywa ten krzew.

- Niech ci będzie *manzanita* - mruknęła do siebie ze złością. Nie oczekiwała pochwały za to, że przyszła z pomocą turyście, ale pełen wyższości ton Kurta był po prostu nie do zniesienia. Zerknęła w dół i przeszył ją dreszcz grozy. - Spuść mi tylko linę, to wszystko.

- Dosięgniesz ją? Odbiór.

- Nie mam chyba wyboru, prawda? Podniosę rękę, kiedy będę gotowa. Koniec.

Andrea przypięła krótkofalówkę do pasa i czekała na linę. Gdy pojawiła się w jej zasięgu, przyciągnęła ją ostrożnie do siebie i zapięła uprząż. Następnie pomachała ręką i powoli zaczęła się wspinać.

Pomocne dłonie wciągnęły ją na drogę. Rozległy się gromkie brawa, gdy Kurt pomógł jej wstać.

- Co z Mike'em? - zapytała, gdy skończyła zwijać linę.

- Odesłano go mułem na górę. Powinien być już blisko punktu opatrunkowego. Ty także tam pojedziesz. Wsiadaj na muła.

- Ależ czuję się świetnie - zaoponowała, otrzepując brudne ubranie. - Odświeżę się trochę i mogę wrócić do pracy.

- Nie wrócisz już do pracy - powiedział szorstko Kurt.

- Dlaczego? - zapytała zdziwiona.

- Ponieważ została pani zwolniona, pani Claybourne.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Ona już nie należy do pracowników parku, Jim! Chcę, żeby stąd zniknęła jak najszybciej. Najlepiej jeszcze dzisiaj.

Andrea wciąż nie mogła przyjść do siebie po niedawnym wybuchu Kurta. Kiedy znaleźli się na Południowej Krawędzi, zaprowadził ją do punktu opatrunkowego, po czym natychmiast zgłosili się do biura dyrektora.

- A jednak to ona spostrzegła turystę potrzebującego pomocy, którego ty przeoczyłeś - zauważył spokojnie Jim, lustrując wzrokiem Andreę. - Co, twoim zdaniem, miała zrobić?

Kurt obrzucił swą podopieczną pełnym oburzenia spojrzeniem.

- Powiedzieć mi o tym, a nie zeskakiwać z muła jak cyrkowiec.

- Nie było na to czasu! - odcięła się Andrea. Przysłuchiwała się tej rozmowie na stojąco, żeby nie zabrudzić obicia fotela. - Muły zbliżyły się do kolejnego zakrętu. Nie moglibyśmy przecież zawrócić!

- Zatrzymać się to jedno - powiedział Kurt, odwracając się gwałtownie w jej stronę. - A zejść na dół bez liny to coś zupełnie innego. Nie jesteś doświadczoną alpinistką! Pogwałciłaś wszelkie zasady bezpieczeństwa w naszym regulaminie!

- Ten chłopak potrzebował natychmiastowej pomocy! Sprawiał wrażenie, jakby miał lada chwila zemdleć! I naprawdę niewiele brakowało!

- Skąd mogłaś o tym wiedzieć, skoro znajdowałaś się na szlaku?! - zawołał Kurt. - A gdyby tak się stało, nic nie mogłabyś na to poradzić, spadłabyś razem z nim. Naraziłaś na niebezpieczeństwo swoje życie.

- Uratowałam go przed upadkiem! Moja obecność pomogła mu się zmobilizować! - obstawała przy swoim Andrea. - No i sam nie dałby rady zapiąć sobie uprząży. Przysięgam, Jim, nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo.

- Tak ci się tylko wydaje - rzucił Kurt z błyskiem złości w oku.

- Wiem o tym! Nie masz podstaw, żeby wyrzucić mnie z pracy!

Podjęłam słuszną, przemyślaną decyzję.

- Wystarczy, moi drodzy! - zarządził Jim. - Kurt, słysząc cię chyba w drugim stanie. Andreo, usiądź i nie przejmuj się obiciami. Wyglądasz, jakbyś miała za chwilę zemdleć.

Obrzuciwszy Kurta zbolałym spojrzeniem, Andrea opadła ciężko na fotel. Kurt siedział z założonymi na piersiach rękoma. Jego gniewne oblicze zdradzało troskę.

Jim odczekał kilka minut, po czym odchrząknął.

- Andreo, ty pierwsza zauważyłaś tego młodego człowieka. Postanowiłaś przyjść mu bezzwłocznie z pomocą i twoja decyzja okazała się słuszną. Nie widzę wobec tego powodu, żeby zwalniać cię z pracy czy choćby udzielać nagany.

- Dziękuję - powiedziała Andrea z wyraźną ulgą. Kurt zaczął coś mówić, ale Jim podniósł rękę, skutecznie mu przerywając.

- Kurt, czy przypadkiem nie jesteś nadopiekuńczy?

- Nadopiekuńczy? - powtórzył Kurt z niedowierzaniem. - A co, twoim zdaniem, powinienem zrobić, widząc, że moja stażystka zeskakuje z muła i znika nagle ze szlaku? Andrei brakuje piątej klepki!

- Jestem innego zdania. Myślę, że boisz się jej zaufać; jej lub innemu stażyście. Wiem, że jest ci ciężko po śmierci Sary.

- To nie ma nic wspólnego z Sarą!

- Czyżby? - spytał spokojnie Jim.

Andrea przypomniała sobie słowa Kurta. „Nie chcę, żebyś skończyła jak Sara Wolf”.

- Naprawdę. - Kurt posłał najpierw Jimowi, a potem Andrei pełne wściekłości spojrzenie. - Ale skoro uparcie przywołujesz imię mojej zmarłej żony, wiedz, że kiedy szkoliłem Sarę, wypełniała moje polecenia co do joty, nie tak jak Andrea Claybourne. Nie mam zamiaru być w dalszym ciągu odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo.

Andrea poczuła ucisk w dołku. Kurt nie chce już być jej instruktorem. Jim musiał dostrzec jej zdenerwowanie, bo obdarzył ją pokrzepiającym uśmiechem.

- Andreo, a może tak wzięłabyś sobie wolne popołudnie?
- Ale...
- Umyj się, odpocznij, a my tymczasem obgadamy tę sprawę.

Spotkamy się tu jutro o ósmej.

Podniosła się ciężko z fotela.

- Aha, Andreo, jeszcze jedno.
- Słucham.
- Dobra robota.

Obdarzyła Jima wymuszonym uśmiechem, który szybko zniknął pod wpływem manifestacyjnej dezaprobaty Kurta.

Andrea weszła do mieszkania z ciężkim sercem. Próbowwała przecież tylko pomóc drugiemu człowiekowi, który tej pomocy bardzo potrzebował, a spotkały ją za to same nieprzyjemności. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że w razie potrzeby bez zastanowienia zrobiłaby to jeszcze raz. Są chwile, kiedy nie można usiąść i deliberować, lecz trzeba działać. Nauczyła ją tego katastrofa lotnicza.

Teraz weźmie gorącą kąpiel i wymasuje sobie obolałe miejsce na ramieniu. Zażyje też aspirynę. Poczła tępy ból głowy - to z całodziennego napięcia. A raczej z napięcia wywołanego obecnością Kurta Marlowe'a.

Pół godziny później wyszła z wanny. Kąpiel nie poprawiła jednak jej samopoczucia. Od jazdy na mule miała obolałe plecy, czuła dosłownie każdy mięsień. Ból głowy, mimo aspiryny, przerodził się w dotkliwe pulsowanie, a lewe ramię zaczęło z wolna przybierać kolor purpury.

Andrea wysuszyła i ułożyła włosy, wciągnęła na siebie drelichowe szorty i koszulę w paski, po czym przyłożyła na obolałe ramię okład z lodu. Musiał to być spory odłamek skalny, pomyślała, podnosząc woreczek z lodem, aby obejrzeć stłuczone miejsce. Całe szczęście, że nie uderzył jej w głowę.

Wzdrygnęła się na samą myśl o tym i usiadła po turecku na łóżku. Zanim wróci na szlak, będzie musiała kupić sobie nowy kapelusz. Do sklepu wyjdzie później, a przy okazji może wybierze się też do



restauracji. Gotowa była na wszystko, byle tylko nie myśleć o Kurcie.

Postanowiła być ze sobą szczerą - w głębi duszy nie chce innego instruktora. Przyjechała do Arizony, żeby zacząć nowe życie. Nie spodziewała się, że tak szybko obdarzy kogoś uczuciem. Napawało to ją niepokojem.

Kurt miał w sobie coś, co mimo woli podziwiała. Był panem siebie i mówił to, co myśli. Całe jego działanie wyływało z poszanowania życia. A dzięki niespożytej energii i wiedzy wyrastał ponad swe otoczenie i różnił się od znanych jej mężczyzn.

Czuła, że z każdym dniem coraz bardziej ulega jego urokowi.

Westchnęła. Miała mdłości, uporczywie bolała ją głowa i czuła dotkliwe pulsowanie w ramieniu. Poprawiła woreczek z lodem. Złe samopoczucie i smutek z powodu rozstania z Kurtem odebrały jej zupełnie apetyt. Ciekawe, kto zajmie jego miejsce, pomyślała. Pewnie jakiś nudziarz w rodzaju Dana. Do Kurta można było mieć wiele zastrzeżeń, ale nie to, że jest nudny Zaskoczona usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała. - Otwarte.

Drzwi uchyliły się i ujrzała przed sobą Kurta. Poczowała nagle przyspieszone bicie serca, które pokryła nader chłodnym powitaniem.

- Co za niespodzianka! Nie spodziewałam się ujrzeć dziś jeszcze raz mojego instruktora. Czy raczej eks-instruktora?

- Jim poprosił mnie, żebym tu wpadł - wyjaśnił, zamykając za sobą drzwi.

Powinna się była tego domyślić.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Dlatego właśnie tu jestem. Jim nam zostawił decyzję w tej sprawie. - Kurt podszedł do łóżka i dotknął woreczka z lodem.

- Pokaż mi to miejsce.

- Nic takiego - zbyła go, odsuwając się nieco. Kurt jednak nie dał za wygraną.

- Ależ to bardzo poważne stłuczenie - stwierdził, marszcząc czoło.



- To po odłamku skalnym. Czy mogę prosić o lód? Delikatność, z jaką przyłożył okład, ogromnie ujęła Andreę.

- Czy wzięłaś aspirynę?

- Tak. - Wtem, kiedy kładł lód na ramieniu, poczuła na palcach muśnięcie jego dłoni i serce znowu zaczęło jej bić jak oszalałe. - Kurt, naprawdę nie jestem w towarzyskim nastroju.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie porozmawiamy, Jim czeka na naszą decyzję - powiedział, sadowiac się tuż obok na łóżku.

- No cóż, skoro udało mi się przebrnąć przez blisko połowę stażu z kimś takim jak ty, następny miesiąc mogę wytrzymać z każdym.

Zauważyła, że Kurt poruszył się niespokojnie na te słowa, ale jakoś nie sprawiło jej to satysfakcji. Zajął się poprawianiem okładu, unikając jego wzroku.

- Jim może poszukać mi kogoś na twoje miejsce. To właśnie chciałeś usłyszeć, prawda?

- Chcę wiedzieć, czego ty chcesz, Andreo - powiedział z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Już ci mówiłam. Nowego instruktora. Nie mogłabym dalej pracować z kimś, kto mi nie ufa. Dla ciebie zawsze będę tylko głupią stewardesą, która nigdy do niczego nie dojdzie.

- Wcale tak nie uważam, Andreo. I to od dłuższego czasu. Co nie znaczy jednak, że się o ciebie nie martwię.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale nie odezwała się ani słowem.

- Gdyby ta skała, zamiast na ramię, spadła ci na głowę, wysyłałbym teraz do twoich rodziców telegram z prośbą, żeby zajęli się przygotowaniami do pogrzebu - powiedział bez ogródek.

- A gdybym nie zrobiła tego, co zrobiłam, musiałbyś wysłać podobny telegram rodzicom Mike'a.

- Wiem.

- A więc... przyznajesz mi rację?

- Tak. Zamiast cię zwalniać, powinienem był ci pogratulować.

Jim ma rację. Jestem nadopiekuńczy. To się więcej nie powtórzy. - Pochwycił jej wzrok, gdy wreszcie podniosła głowę. - Chciałbym dokończyć cię szkolić, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Andrea nie mogła wprost uwierzyć własnym uszom. Tak bardzo chciała to usłyszeć. A jednak nie czuła satysfakcji. Przyłapała się na tym, że podziwia Kurta za uczciwość. Przypomniała sobie nagle ciepło jego ciała, dotyk ust i doszła do wniosku, że coraz trudniej przychodzi jej się skoncentrować na pracy. Zaczerpnęła głęboki oddech i powzięła decyzję.

- To chyba nie najlepszy pomysł. Wolałabym, żebyś poprosił Jima o nowego stażystę.

Zauważyła, że Kurt cały zeszywniał. Zapanowała niezręczna cisza.

- Nie przypuszczałem, że tak łatwo daje pani za wygraną, pani Claybourne. Czyżbym się mylił?

- Ja... - Wiedziała, że Kurt chce z nią dalej współpracować. Ale czy ona się na to odważy? Uświadomiła sobie bowiem nagle, że tak naprawdę chce, aby Kurt Marlowe widział w niej kobietę, a nie jeszcze jedną stażystkę. Nigdy jednak do tego nie dojdzie, jeśli będzie się koncentrowała na nim zamiast na pracy.

- Jeszcze masz czas, żeby zmienić zdanie.

- Tego właśnie się boję - mruknęła do siebie. Usta Kurta ściągnęły się nagle w wąską kreskę.

- Jim powiedział, że jeśli nie skontaktujemy się z nim do rana, zostawia nas razem. Jeżeli chcesz nowego instruktora, to zadzwoń. Ja nie zamierzam tego robić - stwierdził, wstając sztywno z łóżka.

Odprowadziła go wzrokiem do wyjścia. Z ciężkim sercem sięgnęła po telefon. Ma dość oleju w głowie, żeby się nie angażować, zwłaszcza że odbywa staż, a interesujący ją mężczyzna żyje wspomnieniami o zmarłej żonie.

Niechętnie nakręciła numer Jima.

- Spodziewałem się twojego telefonu - powiedział, upewniwszy się, że Andrea dobrze się czuje. - Jaką decyzję podjąłeś?

- Jim, ja... - urwała, nie mogąc wydusić z siebie odpowiedzi. -

Jestem w rozterce. Dlaczego nikt mi nie powiedział, że Sara była żoną Kurta? Dlaczego nie wspomniałeś mi o tym ani słowem?

- Staram się nie wnikać w życie osobiste moich pracowników - powiedział bez ogródek. - To dotyczy każdego.

- Nie zgadzam się z tym, szczególnie że prywatne życie Kurta ma bezpośredni wpływ na moją sytuację w pracy - argumentowała. - Powinnam wiedzieć, co się dzieje. Od śmierci Sary i dochodzenia w tej sprawie minęły już dwa lata. Mimo to Kurt zachowuje się tak, jakby coś przede mną ukrywał. Znika tajemniczo w ciągu weekendów i... nikt mi nic nie mówi!

Po drugiej stronie panowało milczenie.

- Jim, mam wrażenie, jakbym poruszała się po omacku. Czy jest jeszcze coś, co powinnam wiedzieć?

- Nie - odparł Jim stanowczo, lecz Andrea miała niejasne wrażenie, że nie mówi jej wszystkiego. - Ta rozmowa pochłania wiele cennego czasu; jeśli nie postanowisz inaczej, ty i Kurt będziecie nadal pracować razem.

- Ale...

- Do widzenia, Andreo.

Jim rozłączył się, pozostawiając Andreę z wieloma wątpliwościami. Powinna zadzwonić do niego jeszcze raz, prosząc o nowego instruktora. Ale nie mogła się jakoś na to zdobyć. Później, przyrzekła sobie, odkładając słuchawkę. Zadzwoi później. Nie zrobiła tego jednak. Odkładała to tak długo, że wreszcie dały o sobie znać niezwykle przeżycia dnia i zmęczenie, i zapadła w mocny, głęboki sen. Obudziło ją po kilku godzinach uporczywe pukanie. Na chwiejnych nogach podeszła do drzwi i otworzyła.

- Czy pani Andrea Claybourne? - zapytał listonosz.

- Tak, to ja.

- Paczka dla pani. Proszę tu podpisać.

Złożyła szybko podpis we wskazanym miejscu.

- Proszę poczekać, pójdę tylko po portmonetkę - mruknęła.

- Nie trzeba. Załączono także napiwek. Proszę bardzo - powiedział listonosz, wręczając paczkę.

- Dziękuję. - Zamknęła drzwi, po czym usiadła na łóżku i zaczęła rozwijać papier. Na widok zawartości przesyłki zmieniła nagle postanowienie, aby zadzwonić do Jima.

Paczka zawierała nowiutki kapelusz straży parku.

Andrea postanowiła, że kupno kapelusza będzie ostatnim nieformalnym zachowaniem, na jakie pozwoli Kurtowi.

Przez cały następny tydzień trzymała się roli stażystki. Nie pozwalała sobie na żadne osobiste rozmowy ani poufałości, ucząc się pilnie udzielania pomocy poszkodowanym przy użyciu liny.

Opanowała sztukę wspinania się na ściany skalne, a także schodzenia w dół. Wysiłek fizyczny okazał się tu niczym w porównaniu z wymaganą koncentracją; co wieczór padała nieprzytomna ze zmęczenia. Przed snem gratulowała sobie, że udało jej się przetrwać kolejny dzień, nie zdradziwszy się z uczuciem do Kurta Marlowe'a. Jak dotąd pomyślnie zaliczyła wszystkie wymagane egzaminy. Postanowiła, że z Kurtem będą ją łączyły tylko stosunki służbowe, przynajmniej do końca stażu.

Pocieszała się, że może później zostaną przyjaciółmi. A może nawet więcej niż przyjaciółmi... W końcu Sara nie żyje od dwóch lat. Może Kurt dojrzał już do tego, żeby w jego życie wkroczył ktoś nowy, ktoś taki jak ona. Dopóki jednak nie zakończy stażu, nie będzie ryzykowała utraty pracy, robiąc słodkie oczy do swojego instruktora.

Chyba że, pomyślała z nadzieją, okaże jej zainteresowanie. Niestety, zainteresowanie wzbudzała wyłącznie w instruktora Judy.

- No zgódź się, Andreo. Moglibyśmy się razem nieźle zabawić - nalegał po którejś z serii ćwiczeń w zjeżdżaniu po linie. - Spotkajmy się.

- Już ci mówiłam, Dan. Dziękuję, ale nie - odparła najbardziej chłodnym i zniechęcającym tonem, na jaki się mogła zdobyć.

- Robisz błąd, czekając na zaproszenie dętego Marlowe'a - powiedział Dan z nieprzyjemnym wyrazem twarzy. - Widziałem, jak na niego patrzysz. Otóż powinnaś wiedzieć, że nikt nie jest dostatecznie dobry dla jego córki, nawet...

- Dla jego córki? - powtórzyła oszołomiona Andrea. - Kurt ma córkę?

Urażony w swej miłości własnej Dan nie pośpieszył jednak z wyjaśnieniem.

- Tylko nie przychodź do mnie, gdy zostaniesz sama. Nie ty jedna jesteś na świecie.

Mimo że ciekawa była szczegółów, postanowiła nie wypytywać Dana, którego miała już serdecznie dosyć. Nie dała po sobie poznać, jak bardzo zmartwiła ją ta rewelacja. Trudno było rywalizować o uczucia Kurta z Sarą, a cóż dopiero z córką. Nigdy by się zresztą do tego nie posunęła. Nic dziwnego, że nie widywała go w czasie weekendów. Na pewno spędza je z dzieckiem.

Z ciężkim sercem powróciła do ćwiczeń. Pod koniec tygodnia potrafiła wykonać każde postawione przez Kurta zadanie. Zjeżdżanie po linie kończyło się wyjątkowo trudnym egzaminem. Żeby pokonać wymagany odcinek, trzeba było robić częste przerwy. I właśnie podczas jednej z takich przerw Andrea postanowiła poprawić sobie włosy i, puszczając linę jedną ręką, starała się wsunąć niesforny kosmyk w warkocz.

- Znajdujemy się pięćset metrów nad rzeką - zauważył z kwaśną miną Kurt. - Jeśli rozluźnisz uchwyt, czeka cię niezły lot.

- Nie spadnę - odparła zaczepnie, ale z powrotem chwyciła linę. Pod wpływem tego ruchu zakołysała się lekko.

- Na wszystko jest odpowiedni czas. Opuszczanie się po linie to jednak nie najwłaściwsza chwila na poprawianie fryzury - powiedział Kurt, przyglądając się jej uważnie. - Wiem, że nie jesteś głupia, dlatego sądzę, że specjalnie mnie prowokujesz.

Andrea nic na to nie odpowiedziała, spuszczaając głowę z miną winowajczyni. Nie ułatwiała mu życia, to prawda, ale to dlatego, żeby zachować dystans. Jedynie w ten sposób mogła bronić się przed niepokojącym zbliżeniem i ukryć swoje uczucia. Takie zachowanie powstrzymywało ją także od zadawania niepożądanych pytań.

Czy Kurt naprawdę ma córkę? Dlaczego nigdy dotąd nie wspomniał o niej ani słowem?

- Miałaś okazję, żeby zmienić instruktora. Skoro jednak z niej nie skorzystałaś, radziłbym ci zmienić szybko zachowanie.

Andrea poczuła, że oblewa się rumieńcem. Tym razem, kiedy dał sygnał do dalszego opuszczania się w głąb Kanionu, wypełniała jego polecenia z ogromną skrupulatnością i troską o bezpieczeństwo. Kurt pierwszy dotarł na dół i przyglądał się ostatnim wysiłkom Andrei.

- Gratulacje. Egzamin zaliczony.  
- Dziękuję - odparła, oddychając z ulgą.  
- Jutro czeka nas kolejny etap szkolenia. Wybierzemy się w dół Kolorado.

- Pokażesz mi nowe szlaki?  
- Nie, popłyniemy pontonem. Rano polecimy do Lees Ferry na granicy Arizony i Utah, skąd zaczniemy podróż. Jeśli pogoda dopisze, popłyniemy aż do Pearce Ferry.

Andrea przypomniała sobie, że Pearce Ferry leży blisko Nevady w odległej, zachodniej części parku.

- Chcesz powiedzieć, że pokonamy całą długość Kolorado?  
- Tak. - Kurt zaczął zwijać linę i dał znak Andrei, żeby zrobiła to samo. - Nie wyglądasz na zadowoloną - zauważył.  
- Jestem trochę zdenerwowana. - Było to w najlepszym razie niedomówienie. To nie rzeka ją przerażała, ale potencjalne sam na sam z Kurtem. - Kto z nami płynie?

- Nikt.  
- Chcesz powiedzieć... - Poczula nagle oszalałe bicie serca.  
- Właśnie, pani Claybourne. Będziemy tylko we dwoje.  
- Ta wyprawa na pewno ożywi wspomnienia związane z Sarą - zauważyła miękko. - Poradzisz sobie z tym?

Przez chwilę sądziła, że nie doczeka się odpowiedzi.

- Przebywanie w pobliżu miejsca, w którym zginęła, nie sprawia mi przyjemności. Kiedy ją znaleziono, byłem akurat w powietrzu. Tak się złożyło, że musiałem odtransportować ją helikopterem - powiedział ponurym, bezbarwnym głosem.

- Nie wiedziałam o tym. - Poruszona do głębi Andrea położyła



instynktownie dłoń na jego ramieniu w geście pocieszenia.

- Dwa lata temu mieliśmy w zimie bardzo obfite opady śniegu, które sprawiły, że poziom wody w rzece znacznie się podniósł. Szczególnie groźne były przełomy, prąd przybrał pokaźnie na sile. Turyści utonęli przy wodospadzie. To cud, że w ogóle odnaleziono ich ciała i ciało Sary. - Jego głos był nabrzmiały od emocji.

- A ty nie wierzysz w cuda? - zapytała cicho Andrea.

- Nie wierzę, żeby śmierć Sary była potrzebna!

- Przepraszam, Kurt, ale nie rozumiem.

- Sam ją szkoliłem, Andreo. Właściwie nie wymagała specjalnego szkolenia. Była świetna, należała do najlepszych strażników w tym parku! Jej śmierć nie mogła być udziałem przypadku.

Andrei ciarki przeszły po plecach.

- Coś poszło nie tak w czasie akcji ratunkowej i to nie z jej winy. Sara była tak dobra w swojej robocie, że powierzyłbym jej własne życie. W dodatku dysponowała doskonałym sprzętem.

- Chcesz powiedzieć, że Sara zginęła na skutek czyjś błąd? - zapytała Andrea z niedowierzaniem w głosie. - Któregoś z pracowników parku?

- Chcę powiedzieć, że Sara nie żyje i że jej śmierć była niepotrzebna.

- Nie możesz obwiniać o to innych, Kurt. To nie w porządku i na dłuższą metę może okazać się dla ciebie destrukcyjne - powiedziała ze współczuciem.

- Sądysz, że to ból przeze mnie przemawia? - Jego oczy przeczyły takiemu zarzutowi, ale Andrea postanowiła być całkowicie szczerą.

- Być może. Przecież wszelkie niejasności na pewno wyszłyby na jaw w czasie oficjalnego dochodzenia.

Kurt spojrzał na nią ze sceptycyzmem.

- Czy kiedy to się stało, miałeś jakieś konkretne podejrzenia?

- Nie wiedziałem, co myśleć. Koledzy, którzy brali wtedy udział w akcji ratunkowej, milczeli jak zakłęci, przynajmniej w mojej

obecności. Partner Sary poprosił o przeniesienie do odległej części Kanionu.

- Jej śmierć musiała być dla nich ogromnym wstrząsem, podobnie jak dla ciebie.

- Możliwe.

- Ale przecież od tamtego czasu minęły już dwa lata. Dlaczego więc tak uporczywie do tego powracasz?

- Z twojego powodu.

- Mojego?

- Tak. Nie chciałem, żebyś tu pracowała; jednym z powodów była śmierć Sary. Wtedy nagle wszyscy znowu nabrali wody w usta, gdy padło jej imię - powiedział z pośępnym wyrazem twarzy. - Zastanów się tylko przez chwilę. Jim nie wspomina o niej ani słowem. Inni też. Milczą jak zakłęci. W każdej pracy plotkuje się na temat kolegów, a jednak ty nie dowiedziałaś się nawet o tym, że Sara była moją żoną!

Ani tego, że masz dziecko, dodała w duchu.

- Rzeczywiście niewiele się mówi na temat twój i Sary - przyznała Andrea. Już wcześniej zastanawiała się nad tym i nadal nie mogła się nadziwić, że poza jadowitą uwagą Dana nie doszły jej żadne wzmianki o Kurcie ani o wypadku jego żony.

- I to po dwóch latach. Nie wydaje ci się to podejrzane?

- Może unikają tego tematu, bo wydaje im się przykry. Może chcą ci oszczędzić bólu.

- Nie osiągną tego, ukrywając przede mną prawdę. Obojętnie, ile to potrwa, nie spocznę, dopóki nie poznam prawdziwych okoliczności śmierci Sary.

Andrea martwiła się o Kurta. Wiedziała lepiej od innych, jak bardzo przeszłość może człowieka prześladować. Przyrzekła więc sobie, że dowie się, jak zginęła Sara Wolf. Nie chciała, żeby Kurt był nieszczęśliwy i żeby Sara zaprzętała ciągle jego myśli.

Od tego zależy spokój ducha Kurta. I, jakkolwiek próbowałyby temu zaprzeczać, także jej własny spokój.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

- Zajmę się pontonem, a ty się tymczasem przebierzesz - zaproponował Kurt.

Andrea skinęła głową. Znajdowali się u stóp zapory Glen Kanion, tuż poniżej Lake Powell. Przed nimi rozciągała się Kolorado o zwodniczo spokojnej powierzchni, pod którą krył się potężny prąd. Kurt rozpakował nadmuchiwany ponton i napompował go ręczną pompką, Andrea zaś zrzuciła z siebie mundur straży parku i wysokie buty, pozostając w czerwonym kostiumie kąpielowym. Ubranie i buty włożyła do wodoszczelnej torby.

Następnie na gołe nogi wsunęła stare tenisówki i przyglądała się, jak Kurt przytwierdza do pontonu wiosła.

- Nie będziemy używać silnika? - zapytała.

- Nie. Pontony silnikowe mają długość od sześciu do dziewięciu metrów i żeby je prawidłowo obciążyć, potrzeba co najmniej sześciu osób - wyjaśnił.

Kurt zaczął ładować swój bagaż i Andrea poszła w jego ślady.

- Dla nas z powodzeniem wystarczy ponton czteroosobowy. Wystarczy sterować wiosłami i dać się nieść prądowi. Masz chyba pojęcie o wiosłowaniu?

- Tak, ale wyszłam z wprawy.

- Będziemy więc oszczędzać twoje ramiona.

- Nie martw się o mnie.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego Jim cię zatrudnił. Lubisz wyzwania.

Największym wyzwaniem był Kurt. Tego jednak nie mogła powiedzieć, zajęła się więc przygotowaniem sprzętu, szczególnie kamizelki ratunkowej. Właśnie ją zapinała, kiedy podszedł do nich jeden ze strażników.

- Słucham, Earl? - zwrócił się Kurt do mężczyzny, którego Andrea widziała po raz pierwszy.

- Przylecieliśmy rano z kolegą i, tak jak wy, płyniemy w dół

rzeki. Zauważyłem, że nie odebraliście poczty, więc ją dla was zabrałem.

- Dziękuję bardzo - powiedziała z wdzięcznością Andrea i wzięła z rąk mężczyzny pokaźny plik listów. Rodzice i przyjaciele pisywali do niej wytrwale, sprawiając tym wiele radości. - A tak przy okazji, nazywam się Andrea Claybourne - przedstawiła się, wyciągając rękę na powitanie.

- Earl Delmont - odparł mężczyzna i uściśnął serdecznie jej dłoń, po czym zwrócił się do Kurta. - Mógłbyś ją co prawda sam odebrać później w Phantom Ranch, ale pomyślałem sobie, że może wolisz przejrzeć ją teraz.

- To miło z twojej strony, Earl.
- Jak ci się wiedzie, Kurt? - zapytał Earl.
- Świetnie. Mężczyzna pokiwał głową.
- Miło było panią poznać, Andreo. No, ale na mnie już czas.

Szczęśliwej drogi.

- Do zobaczenia. I dzięki za pocztę - powiedziała Andrea. - Jak to miło z jego strony, że pofatygował się, aby dostarczyć nam listy - zauważyła po odejściu strażnika.

- To nie uprzejmość przywiodła tutaj Earla, lecz jego kwoczy instynkt.

- Co takiego?

- Earl wchodzi w skład grupy strażników, którzy pomagali Sarze i jej partnerowi w czasie akcji ratowniczej - wyjaśnił Kurt.

Andrea powiodła zdumionym spojrzeniem za oddalającym się mężczyzną.

- Wraz z partnerem Sary i swoim obecnym współpracownikiem Earl twierdzi uparcie, że przyczyną śmierci tamtych czterech osób był nieszczęśliwy wypadek - poinformował Kurt z sardonycznym uśmiechem.

- Uważasz, że kłamie?
- Nie kłamie. Po prostu nie mówi wszystkiego.
- Jak mogłeś być taki... taki opanowany w jego obecności?
- Earl ma dobre serce. Poza tym gniew nic tu nie pomoże.

Prędzej czy później dowiem się prawdy.

- Czy rozmawiałeś ostatnio na ten temat z Jimem?

- Tak. Przejrzałem także raporty sporządzone przez trzech innych strażników. Dowiedziałem się niewiele więcej. Przeglądałem już je przed dwoma laty. Jimowi wystarczyły.

- Ale nie tobie.

- Nie. Mnie nie. - Kurt włożył kamizelkę ratunkową, po czym sprawdził, czy sprzęt jest odpowiednio ułożony w pontonie. Ruchem dłoni powstrzymał Andreę, kiedy próbowała mu pomóc.

Przyjęła to bez protestu i spokojnie schowała listy. Po chwili byli już na rzece. Z obu stron otaczały ich majestatyczne ściany Kanionu, mieniając się odcieniami purpury i beżu. Andrea z radością powitała ciszę na rzece. Rytmiczne wiosłowanie i delikatne kołysanie działały na nią kojąco.

- Nie powinienem zawracać ci głowy swoimi problemami - stwierdził Kurt.

- Nie o to chodzi - zapewniła go, przestając na chwilę wiosłować. - Po prostu martwię się o ciebie.

- Dlaczego?

- Ponieważ tak bardzo chcesz udowodnić swoją rację. To już dwa lata, Kurt. Życie toczy się dalej. Czy nie prościej byłoby zostawić rzeczy swojemu biegowi?

- Być może, ale nie potrafię tego zrobić. Raczej nie chcesz, pomyślała w duchu.

- Musi ci jej bardzo brakować - powiedziała z ledwo wyczuwalną zazdrością.

Kurt także przestał wiosłować i odwrócił się do niej.

- Tak. Była uparta, wybuchowa i kłótliwa, zupełnie jak ja. Bardzo wiele dla mnie znaczyła. Cieszę się, że zanim umarła, zdążyliśmy mieć dziecko.

- A więc naprawdę masz dziecko - mruknęła. Znowu poczuła dotkliwą zazdrość. Lubiła dzieci i chętnie się nimi otaczała. Teraz jednak, po raz pierwszy w życiu, zapragnęła mieć własne dziecko.

To dobrze, że Kurtowi coś pozostało po tamtych straszliwych

wydarzeniach sprzed dwóch lat.

- Córkę. Lynn ma teraz pięć lat - powiedział, rzucając jej ostre spojrzenie. - Słyszałaś o tym?

- To i owo do mnie dotarło. Zważywszy jednak na źródło informacji, nie byłam pewna - powiedziała, mając na myśli Dana.

- Dlaczego mnie o to nie zapytałaś?

- Nie chciałam być wścibska - odparła z uśmiechem.

- Lynn to ładne imię. Gdzie mieszka? We Flagstaff?

- Było to najbliżej położone miasto.

- Już nie. Mieszkaliśmy tam z Sarą, po jej śmierci moi rodzice wzięli małą do siebie. Jeżdżę do domu w każdy weekend, żeby się z nią zobaczyć.

Andrea pomyślała nagle o swoich weekendach

- bez rodziny, dzieci, bez Kurta, wypełnionych rozmowami ze znajomymi o wszystkim i o niczym. Nagle poczuła się samotna.

- Chciałem ją sprowadzić z powrotem do Flagstaff, ale najwyraźniej dobrze się czuje z dziadkami.

- To dlatego rozważasz pracę w Zespole Ochrony Środowiska? - zapytała w przypiływie nagłego olśnienia.

- Z powodu Lynn? Kurt skinął głową.

- Rodzice ogromnie mi pomogli. Praca w parku nie pozwalała na opiekę nad trzyletnim dzieckiem. No, ale Lynn nie jest już maleństwem, a rodzicom przybywa lat. Muszę poświęcić jej więcej czasu. Od września zaczyna szkołę. Gdybym zmienił pracę, może mógłbym odbierać ją ze szkoły w rozsądnym czasie.

Andrea poczuła niemal fizyczny ból na myśl, że Kurt miałby odjechać tak daleko.

- Czy wytrzymasz, pracując zamknięty w czterech ścianach?

- Zrezygnowanie z obecnej pracy to niewielka ofiara. Rodzicom potrzebny jest odpoczynek, a ja tęsknię za córką. Nie planowałem tak długiego rozstania z Lynn. Zanim jednak odejdę, chcę się dowiedzieć, jak zginęła Sara.

Prąd zaczynał już nieco znosić ponton; tym razem kurs wyrównała Andrea.



- Być może nigdy się tego nie dowiesz - zauważyła.  
- Do września pozostały już tylko trzy miesiące.  
- Muszę, Andreo! Sara miała wiele powodów, aby żyć. Snuła mnóstwo planów w związku z nami i z Lynn, i żeby stracić to wszystko w taki sposób... - Jego głos stał się naraz szorstki. - Winien to jestem Sarze. Muszę się dowiedzieć, kto ponosi za to odpowiedzialność.

- A jeżeli się okaże, że nikt? Co wtedy?

- Ktoś musi być winien. Na pewno nie Sara. Ktokolwiek to jest, będzie musiał opuścić szeregi straży. Chcę, żeby Lynn wiedziała, że jej matka nie była bezradną ofiarą wypadku, za jaką uważają ją ludzie. Jedyne, co mogę zrobić dla Sary, to ocalić jej dobre imię.

- I jest to dla ciebie aż takie ważne?

- Robię to również dla Lynn.

- Może tak się zdarzyć, że nigdy nie poznasz prawdy do końca - obstawała przy swoim Andrea.

- Minęło już tyle czasu, Kurt.

- Możliwe, a jednak wszyscy stają się bardzo drażliwi, ilekroć pada imię mojej żony. Śmierć Sary nie była dziełem przypadku - zapewnił z przekonaniem.

Andrea posmutniała.

- Dopóki jednak nie dopuścisz takiej ewentualności, dopóty nie zdołasz pogodzić się ze stratą żony.

Kurt wrócił do wiosłowania. Po chwili Andrea poszła w jego ślady.

Musi teraz dojść do ładu z własnymi uczuciami. Ogarnęła ją bowiem nagle rozpacz na myśl o tym, że Kurt jesienią wyjedzie z Kanionu. Dlaczego ją to tak obchodzi? Nie najlepiej znosiła rozstanie z rodziną i przyjaciółmi; bywało, że czuła się samotna. Kurt zaś wniósł w jej życie spore ożywienie, którego na pewno będzie Andrei bardzo brakowało.

Imponował jej także wiedzą i zaangażowaniem w pracę. Był wspaniałym ojcem, a kiedyś na pewno wiernym mężem. Widziała w nim nie tylko doskonałego strażnika parku, lecz także mężczyznę. Nie sposób jednak było współzawodniczyć o Kurta z duchem...

Jeszcze raz przysięgła sobie, że pomoże mu poznać szczegóły śmierci żony. Dopiero wtedy będzie mógł uwolnić się od przeszłości i obdarzyć uczuciem inną kobietę. I dopiero wtedy Andrea będzie miała prawo przeanalizować swoje uczucia do niego.

Słońce wzbiło się wyżej i zaczęło silniej przygrzewać. Także prąd rzeczny przybrał na sile. W południe Andrea miała już ramiona obolałe od wiosłowania. Z uczuciem ulgi powitała więc zapowiedź rychłego postoj.

- Nawet wycieczki z zawodowymi przewodnikami spędzają na wodzie nie więcej niż pół dnia - poinformował Kurt, gdy zbliżali się do brzegu. - Zmrok w Kanionie zapada bardzo szybko, nawet w lecie. Na rzece jest wtedy niebezpiecznie. No a poza tym ręce ci się chyba zmęczyły. Wolałabym rozejrzeć się trochę po okolicy - wyznała Andrea, lustrując z zainteresowaniem brzeg.

- Siedzenie przez cały ranek w pontonie bardziej mnie męczy niż wędrówka szlakiem.

- Możesz wybrać się na zwiedzanie, gdy coś zjemy i rozbijemy namioty. Kanion ma najróżniejsze odgałęzienia, a do wielu ruin indiańskich *pueblo* można się dostać jedynie od strony rzeki. Jeśli chcesz, z przyjemnością ci je pokażę.

- Wspaniale - powiedziała z zapałem Andrea.

- Tym razem mam ze sobą aparat.

Aparat był zapakowany w hermetyczny pojemnik na amunicję. Kurt wyjaśnił, że to najtańszy i najskuteczniejszy sposób zabezpieczania cenniejszych przedmiotów przed niszczącym działaniem wody.

- Chciałabym także zrobić trochę zdjęć fauny. A propos, co się stało ze znalezionym przez nas osiołkiem?

- Jak ostatnio słyszałem, miewa się całkiem dobrze.

- Żyje? - zdziwiła się Andrea. - Nie uspili go? Kurt obrzucił ją pełnym irytacji spojrzeniem.

- Przecież obiecałem ci, że porozmawiam z pilotem. Przekazał weterynarzowi, że zwierzę jest w dobrym stanie; wkrótce całkowicie wyzdrowieje.

- Tak się cieszę, Kurt! - wykrzyknęła Andrea z ulgą. - Dziękuję.  
- Za co? Zwierzę było zdrowe. Nie ma w tym mojej zasługi. A teraz, jeśli chcesz rozprostować nogi, zabierzmy się do robienia obiadu.

Niestety, wkrótce po posiłku niebo zasnuło się wielkimi, czarnymi chmurami. Ledwie zdążyli przed ulewą spakować resztę jedzenia i rozbić namioty. Andrea siedziała pod brezentem na śpiworze i rozczarowana wpatrywała się w strumienie deszczu.

- Czy mogę wejść? - zawołał Kurt, stając przed częściowo zasuniętymi połami jej namiotu.

- Oczywiście. Pośpiesz się, bo zmokniesz. Wszedł do środka z kostiumem i ręcznikiem w ręku.

Andrea, podobnie jak Kurt, zdążyła się już przebrać w koszulę i szorty.

- Zostawiłaś te rzeczy na sznurze. Wciąż są wilgotne, ale może wyschną w środku.

- Dzięki. Poczekaj - zatrzymała go. - Mam przecież twoją pocztę. - To mówiąc, sięgnęła do wodoszczelnej torby na ubranie i wyjęła korespondencję Kurta. - Może, jeśli dopisze nam szczęście, oprócz rachunków znajdziemy jakiś przyjemny długi list.

- Rodzice rzadko pisują, bo widzimy się prawie co tydzień, ale Lynn sprawia mi niekiedy miłą niespodziankę. Nauczyłem ją alfabetu i czasami przy pomocy mamy potrafi napisać kilka słów - powiedział siadając po turecku na płóciennej podłodze. - Miło byłoby przeczytać teraz taki list. Wygląda na to, że nigdzie się dziś nie wybierzemy.

- Chyba nie. Może napijesz się kawy, a ja tymczasem posegreguję pocztę. - To mówiąc, podała mu ciepły jeszcze dzbanek i filiżankę. - Wniosłam to do namiotu, gdy zaczęło padać. Chyba nie wystygła całkiem. Dlatego zapomniałam o kostiumie; mam swoje priorytety - dodała z uśmiechem.

- To rozumiem - powiedział rozpromieniony Kurt. Zdjął deszczowiec i nalał sobie filiżankę kawy.

- Proszę bardzo. - Andrea podała mu korespondencję i zaczęła

przerzucać swoją. - Rachunek, ulotka reklamowa, ubezpieczenie samochodu... Hej, poszczyściło mi się. Jest list od rodziców i wygląda na to, że... - przerwała, gdyż jej uwagę przykuła koperta z drukowanymi literami. Był to list od Emilki.

- Chyba nie następny rachunek?
- Nie, nie... to od dziewczynki, którą spotkałam w Denver.

Napisała do mnie w ubiegłym tygodniu. Nie spodziewałam się tak szybko kolejnego listu.

- Andrea odłożyła resztę korespondencji na podłogę.
- Nie weźmiesz mi za złe, jeśli go teraz przeczytam? - Ależ skąd.

Do mnie napisał dawny kolega ze studiów; ciekawe, co u niego słychać.

Andrea pokiwała głową i szybko otworzyła kopertę. Zwykle oprócz listu znajdowała także wykonany przez dziewczynkę kolorowy rysunek; tym razem zastąpiła go karta skreślona wprawną ręką dorosłego.

Droga Pani Claybourne! Wreszcie zabieramy z żoną Emilką na upragnione wakacje do dziadków, połączone ze zwiedzaniem Wielkiego Kanionu. Bardzo chcielibyśmy spotkać się z Panią całą piątką i podziękować osobiście za wszystko, co zrobiła Pani dla naszej córeczki. Gdyby nie Pani, nie byłoby jej dziś wśród żywych.

Kartka kończyła się datą przyjazdu do Kanionu i numerem telefonu, pod którym Andrea będzie mogła skontaktować się z rodziną Emilki. Gdy goście przybędą do Kanionu, będzie znajdowała się mniej więcej w połowie długości Kolorado. Zadzzwoni do nich z Phantom Ranch. Dotrą tam, co prawda, dopiero za trzy dni, ale przecież rodzina Emilki planuje zatrzymać się w Kanionie na tydzień.

Andrea przeszła do listu dziewczynki.

*Kochana Andreo!*

*Tak się cieszę! W końcu uda mi się zobaczyć dziadków i ciebie.*

Andrea zauważyła z rozbawieniem, że „i” było podkreślone aż trzy razy.

*Czy nowa praca podoba ci się bardziej od starej? Czy pozwolisz mi*

*zrobić sobie zdjęcie? Tatusz zgodził się pożyczyć mi aparat. Nie mogę się już doczekać. Do zobaczenia wkrótce! Ucałowania Emilka*

*PS Lekarz mówi, że moja noga jest już w całkiem dobrym stanie.*

Andrea uśmiechnęła się do siebie. Z przyjemnością, zobaczy znowu małą. Jej rodziców poznała w szpitalu, a dziadków zna jedynie z fotografii. Czuła się jak honorowy członek rodziny.

- Dobre wieści? - zapytał Kurt.

Andrea uświadomiła sobie, że wciąż się uśmiecha.

- Tak. Pewni ludzie, których znam z Denver, przyjadą mnie odwiedzić. Miło będzie ich zobaczyć.

- Czy wśród nich nie znajdzie się przypadkiem przystojny młody człowiek?

- Słucham?

- Nie musisz odpowiadać na to pytanie - dodał pośpiesznie. - To nie moja sprawa.

Zadowolona Andrea nie mogła powstrzymać się od komentarza. Być może Sara nie zaprzętała jego myśli tak bez reszty. Złożyła list i schowała go do koperty.

- To bardzo osobiste pytanie - zauważyła lekko.

- Powinieneś zacząć od czegoś bardziej niewinnego, na przykład: jakie jest moje ulubione danie albo gdzie chodziłam do szkoły.

- A więc jakie jest twoje ulubione danie?

- Czekolada - odparła z szerokim uśmiechem.

- Wiem, że to niezbyt oryginalne, ale tak jest.

- I bardzo typowe. Wiele osób przepada za czekoladą.

Deszcz wyraźnie przybrał na sile. Kurt zaciągnął suwak przy wejściu do końca i rozsiadł się wygodniej.

- A gdzie chodziłaś do szkoły?

- W Denver, oczywiście. Co roku przechodziłam z klasy do klasy w towarzystwie tych samych dzieci. Z Denver pochodzą moi rodzice, którzy od czasu ślubu mieszkają w tym samym domu.

- Czy miałaś chłopaka w liceum?

- Ależ skąd! Jako nastolatka byłam chuda jak , patyk, niezgrabna

i wyższa od większości chłopców w klasie. Nigdy nie udało mi się umówić na randkę.

- Trudno w to uwierzyć - zauważył Kurt, obrzucając ją pełnym podziwu spojrzeniem.

- Ale to prawda. Bardzo długo byłam brzydkim kaczątkiem. Podobnie zresztą jak wszystkie kobiety z naszej rodziny. Miałam jednak szczęście. Dee... - Andrea urwała nagle, by po chwili znowu podjąć przerwany wątek. - Dee cieszyła się wielkim powodzeniem. Umawiała mnie zawsze z kolegą swojego aktualnego chłopaka. Chłopcy szaleli na jej punkcie, więc zgadzali się, byle tylko być blisko Dee.

Andrea zamilkła na chwilę, rozmyślając o sobie i przyjaciółce, gdy były nastolatkami. Wesoła i skora do żartów Dee starała się przelać trochę swojej beztroski na bardzo poważną Andreę.

- Dee była twoją przyjaciółką?

- Tak. Najlepszą przyjaciółką. Byłyśmy jak siostry. Ja nie miałam rodzeństwa, a Dee samych braci. Mieszkałyśmy obok siebie. Mama mówi, że wychowywałyśmy się razem od kołyski. - Tu jej głos się załamał. - Zginęła w wypadku kilka miesięcy temu.

Nagle poczuła z rozpaczą, że jej oczy napełniają się łzami. Kurt odchrząknął zmieszany, po czym przyciągnął ją do siebie i posadził na kolanie. Wyjął z kieszeni chustkę do nosa i podał, żeby wytarła policzki.

Na chwilę zapadła cisza przerywana jedynie jednostajnym odgłosem deszczu uderzającego w płótno namiotu i gwałtownym pochlipywaniem Andrei. Nagle poczuła na plecach krzepiący dotyk Kurta.

- Przepraszam - powiedziała, kiedy wreszcie udało jej się odzyskać równowagę. - Nie sądziłam, że tak się rozkleję. Czasami jednak... mnie to dopada.

- Niełatwo jest się pogodzić z utratą kogoś, kogo się kocha - powiedział spokojnie.

- To nie to. - Andrea westchnęła ciężko. - Jej śmierć jest...

Kurt czekał cierpliwie, aż skończy, obejmując ją mocniej dla



dodania otuchy.

- ...niepowetowaną stratą. - Andrea zacisnęła palce na chustce. - To śmieszne, ale zawsze robiłam jej wyrzuty, że żyje tylko teraźniejszością, bez planów na przyszłość. Ale Dee śmiała się tylko i mówiła: „Mam na to czas, Andreo”. Zastanawiam się, czy gdzieś w głębi duszy nie przeczuwała tego, co ją spotka.

Kurt potrząsnął głową.

- Nie. Na pewno. Nie powinnaś się nad tym zastanawiać. To cię tylko przygnębi. Dee na pewno by tego nie chciała.

- A ty? - zapytała, unosząc głowę. - Czy Sara chciałaby, żebyś cierpiał?

- A co chcesz, żebym zrobił? Pozwolił, żeby jej śmierć pozostała na zawsze nie wyjaśniona?

- Pozwolił, żeby odpoczywała w pokoju.

- Muszę to wiedzieć, Andreo. Nie spocznę, dopóki nie dowiem się prawdy.

- Chętnie ci pomogę - zaofiarowała się Andrea.

- Jak?

- Mając oczy i uszy otwarte. Co prawda, jestem tu nowa, ale to może przemawiać na moją korzyść. Być może ktoś zdradzi się czymś w rozmowie ze mną, bo nie znałam twojej żony i stać mnie na obiektywizm. Jeżeli, oczywiście, nie masz nic przeciwko temu.

W oczach Kurta pojawił się nieodgadniony wyraz.

- Zaangażowanie w sprawę Sary po stracie Dee nie będzie dla ciebie chyba łatwe. Dlaczego chcesz to zrobić?

- Ponieważ cię rozumiem - odparła po prostu. Kurt zamilkł na chwilę.

- Powiniennem wracać do swojego namiotu.

- Nie zapomnij o listach.

- Właśnie. - Nie wykonał jednak żadnego ruchu, żeby sięgnąć po pocztę lub zsunąć z kolan Andreę.

- W końcu nie powiedziałaś mi, czy jest ktoś szczególnie ważny w twoim życiu.

- No tak, zesłaliśmy na boczne tory - odparła.

- A więc?

Andrea spojrzała na Kurta i nagle zapragnęła powiedzieć prawdę.

- Jest pewien mężczyzna, który ma spore szanse - przyznała.

- Ach tak - powiedział z wyraźnym rozczarowaniem w głosie. -

Nic dziwnego. Mogłem się tego domyślić.

Coś poruszyło się w Andrei pod wpływem jego bliskości. Dostyc już miała ukrywania uczuć. Wyciągnęła ręce, żeby objąć Kurta za szyję. Jej wargi zbliżyły się do jego ust.

- Nie domyślasz się, o kogo chodzi? - szepnęła.

- O ciebie.

Pocałowała go z całą żarliwością. Rozkoszowała się niezwykłym doznaniem, które kryło w sobie obietnicę wspaniałej przyszłości, jeżeli tylko... odważą się z Kurtem na miłość.

Kurt był najwyraźniej innego zdania. Po krótkim wahaniu uwolnił się z jej objęć.

Andrea, dotknięta, utkwiała w nim pełne wyrzutu spojrzenie.

-Kurt?

- Tak nie można - powiedział szorstko. Sięgnął po listy, schował je do kieszeni, po czym wziął do ręki deszczowiec.

- Dlaczego? - dopytywała się śmiało. - Zapytałeś mnie, czy jest ktoś w moim życiu. Objąłeś mnie! Jeżeli to nie jest oznaką zainteresowania, to już sama nie wiem, co nią może być!

- Płakałaś, więc próbowałem cię pocieszyć. To wszystko! - odparł.

- Z początku. - Zauważyła, że Kurt unika jej wzroku.

- Jestem, do licha, twoim instruktorem! Nie chciałem nadużyć twego zaufania.

- To samo powiedziałaś tego wieczora, gdy mnie pocałowałeś. Nie wierzyłam ci wtedy i nie wierzę teraz. Nie robiliśmy nic złego!

- Zapominasz o naszych stosunkach zawodowych.

- Tu nie chodzi o naszą pracę, lecz o ciebie. Boisz się nawiązać ze mną bliższy kontakt z powodu Sary.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- Owszem, wiem! Obydwoje straciliśmy kogoś, kogo kochaliśmy.

Ja po śmierci Dee przyrzekłam sobie cieszyć się życiem. Kiedy jednak umarła Sara, ty...

- Nie mieszaj do tego Sary!
- Kiedy jednak umarła Sara - nie dawała za wygraną Andrea - ty postanowiłaś pójść po linii najmniejszego oporu. Dlatego mnie odpychasz? Kurt, myślę, że byłoby nam ze sobą dobrze, nigdy się jednak o tym nie dowiemy, jeżeli nie dasz mi... nie dasz nam... szansy!
- Nie chcę już w moim życiu nikogo - powiedział z zaciętym wyrazem twarzy. - A zwłaszcza ciebie - dodał, po czym rozchylił poły namiotu i wyszedł.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Prąd przybiera na sile - zauważyła Andrea wbrew wcześniejszemu postanowieniu, że będzie unikała niepotrzebnych rozmów z Kurtem i traktowała go formalnie jak stażystka starszego rangą instruktora. - Czuję, jak spycha mi wiosła.

Było wcześniej rano i znajdowali się na rzece. Andrea ciężko przeżywała odtrącenie przez Kurta. Jej ponurego nastroju nie zdołały poprawić nawet wesołe promienie słońca, które właśnie przebiły się przez chmury.

- Dlatego mamy dulki i wieziemy zapasowe wiosła. Na naszej drodze leżą najpotężniejsze przełomy. Wkrótce będziemy się przez nie przeprawiać.

- Kiedy do nich dotrzemy? - zapytała Andrea, mimo przygnębienia czując podekscytowanie.

- Przy Kwagunt Pięćdziesiąt Dwa.

- Słucham?

Kurt obejrzał się przez ramię, nie przestając wiosłować.

- Przełomy oznacza się w stosunku do długości Kolorado. Lees Ferry, skąd wyruszyliśmy, znane jest oficjalnie jako Mila Zerowa, zaś Pierce Ferry, przy końcu Kanionu, to Mila Dwieście Siedemdziesiąt Dziewięć. Przełomy Kwagunt znajdują się przy słupie milowym Pięćdziesiąt Dwa. Później jest Unkar i przełom Hance, odpowiednio: Siedemdziesiąt Jeden oraz Siedemdziesiąt Siedem, i tak dalej. Okazuje się to pomocne w czasie spływu i akcji ratunkowej.

- Rozumiem - powiedziała Andrea, starając się zapamiętać informacje. - Które przełomy są największe?

- Do najbardziej znanych należą Pustelnik, Kryształ, Strumień Tuńczyków i Szczęki Śmierci.

- Szczęki Śmierci? - powtórzyła trwożnie Andrea.

- Tak, ale nie daj się zwieść nazwie. Pustelnik i Kryształ są o wiele bardziej niebezpieczne. Ściągają do nich turyści ze wszystkich stron - poinformował Kurt. - Sara uwielbiała się przez nie

przeprawiać. Były to jej ulubione trasy - dodał po chwili milczenia.

Andrea nie odezwała się słowem. Zaczynała nienawidzić imienia Sary Wolf. Jej śmierć najwyraźniej pochłonęła więcej niż jedno życie.

- Przeprawa przez nie to niezła zabawa. Możemy spróbować, jeśli chcesz.

- Sama nie wiem... - odparła nieswoim głosem, śledząc rytmiczne ruchy wiosła Kurta

- Nie martw się, nie tam zginęła - dodał łagodnym tonem, nie odwracając się do Andrei. - Jeśli więc zechcesz przeprowić się przez Krysztal, nie mam nic przeciwko temu.

- Nie jestem Sarą - odparła sztywno Andrea. - I nie gonię za dreszczykiem emocji. Prawdę mówiąc wolałabym raczej zwiedzić ruiny indiańskie. Czytałam, że na terenie Kanionu jest ponad pięćset *pueblo* i osad skalnych, a także ponad dwa i pół tysiąca stanowisk archeologicznych. Wolałabym się trochę rozejrzeć, niż tkwić przez cały dzień w pontonie.

- Ja także - powiedział Kurt, zerkając przez ramię. - Nie widziałem jeszcze wszystkiego, co mnie interesuje, Ale nawet nie wyobrażasz sobie, jak wygląda przeprawa przez większe progi rzeczne. Może zasmakujesz.

- O nie. Nie znoszę niespodzianek. Spokój i pełna kontrola nad sytuacją, oto moja dewiza.

Kurt najwyraźniej nie był o tym przekonany.

- Zobaczymy. Niedługo dopłyniemy do przełomu.

Walcząc ze strachem, Andrea powiedziała sobie, że ma przynajmniej solidne podstawy teoretyczne. Kurt zrobił jej porządny wykład na temat przeprowiania się przez progi rzeczne.

- Sprawdź, czy masz dobrze zapiętą kamizelkę ratunkową i czy fartuch dokładnie opina nogi. Jeśli zdarzy się, że cię wyrzuci...

- Na przykład przy nagłym szarpnięciu pontonu?

- Albo gdy wypadniesz. W każdym razie, jeżeli znajdziesz się w wodzie, nie walcz z prądem. To największy błąd, jaki można zrobić. Próby uczepienia się lub odepchnięcia od skały kończą się złamaniem ręki. Masz na głowie kask, więc pływaj z prądem. W końcu

wydostaniesz się na spokojną wodę.

- Czyli mam po prostu dopłynąć do brzegu i poczekać na ciebie?
- Właśnie. Najważniejsze to nie wpadać w panikę. Przeprowa przez największe nawet przełomy trwa nie dłużej niż trzy, cztery minuty. Jeżeli nie stracisz głowy i będziesz uważała, żeby się nie zachłysnąć wodą, nic ci się nie stanie.
- Wolałabym raczej uważać, żeby nie wypaść z pontonu.
- Mądra dziewczynka. A teraz powtórz wszystko, co ci powiedziałem.

Andrea potulnie spełniła polecenie. Wpływali na spienioną wodę. Choć wydawało jej się, że jest gotowa na wszystko, siła i prędkość Kolorado, a także upojenie, jakie daje przeprowa przez przełomy, przerosły nawet najśmielsze oczekiwania.

Siła, z jaką woda uderzyła ją w twarz, przyprawiała o lęk, a jednocześnie budziła respekt. Słyszała tylko potęgujący się z każdą chwilą szum. Uklękła, zacisnęła mocniej fartuch ochronny wokół bioder i skoncentrowała się na wiosłowaniu.

Andrea wielokrotnie traciła orientację, gdy ponton wykonywał nagle nieprzewidziane zwroty i woda zalewała jej twarz. Zdawała się wtedy zupełnie na Kurta. Widziała, jak napiętymi z wysiłku ramionami stara się okiełznać żywioł i nagle uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu znalazła kogoś, komu może ślepo zaufać. Kiedy Kurt wyprowadził ich na spokojne wody i wiosłował do brzegu, z trudem chwytła oddech.

- No i co o tym myślisz? - zapytał.
- O rany!
- Zapiera dech w piersi, co? - uśmiechnął się ciepło Kurt, po raz pierwszy tego dnia.

Skinęła głową i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

- Wciąż upierasz się przy zwiedzaniu ruin? - zapytał.
- Teraz przydałoby mi się chyba coś mniej męczącego, na przykład odpoczynek na piasku. - Andrea chwytła gwałtownie powietrze. Mięśnie ramion drgały jej nerwowo po niedawnym wysiłku, bolały ją także plecy.



Wiosło uderzyło nagle o dno i Kurt wyszedł na płytką wodę. Po chwili ponton leżał na brzegu.

- No to jesteśmy - obwieścił, po czym zerknął na wodoszczelny zegarek. - Już po drugiej. Możemy coś zjeść, a potem rozbijemy namioty.

- Świetny pomysł. - Andrea wypuściła wreszcie z rąk wiosło, które ścisnęła kurczowo od czasu przeprawy zsiniałymi, sztywnymi palcami. Nagle poczuła silny skurcz uda; noga odmówiła jej posłuszeństwa i runęła twarzą prosto do wody.

Natychmiast poczuła, wokół talii silne dłonie Kurta i po chwili znalazła się w jego ramionach. Z grymasem bólu na twarzy złapała się za udo.

- Bardzo boli? - zapytał ze współczuciem.

- Jak diabli! Mówiłam ci, że nie nawykłam do siedzenia. Ani klęczenia. - Jej twarz wykrzywił grymas bólu.

Posadził ją delikatnie na piasku i zaczął rozmasowywać udo.

- Większość praktykantów wypada z pontonu w czasie przeprawy przez progi. Ty natomiast poczekałaś z tym, aż znajdziesz się na płyciźnie - zauważył lekko.

- Bardzo śmieszne. Och, jak boli! - Andrea uderzyła dłonią w obolałe miejsce, gdy skurcz przybrał na sile.

- Jeżeli zabierzesz ręce, pomogę ci się tego pozbyć.

- Nie, dziękuję. - Odepchnęła go i zajęła się rozmasowywaniem nogi. - Sama sobie poradzę.

- Nie bądź śmieszna, Andreo. Pozwól sobie pomóc. Nie czas, żeby się wstydzić.

- Nie wstydzę się - odparła przez zaciśnięte zęby. - Tylko nie chcę znowu usłyszeć, że rzucam ci się w ramiona.

- Sama sobie z tym nie poradzisz - znowu dotknął jej uda.

- Odejdź ode mnie! - Odepchnęła go drugą nogą.

- Z przyjemnością, gdy tylko uporam się ze skurczem. A teraz odsuń ręce, bo jeśli nie, to...

Nie dokończył groźby, ale sam ton jego głosu zmusił ją do posłuszeństwa. Odwróciła głowę.

- Nie ruszaj się. Jeszcze trochę cierpliwości i... gotowe! - orzekł z satysfakcją. - Już po bólu.

- Nie boli - powiedziała z niedowierzaniem. Odetchnęła z ulgą, gdy Kurt wreszcie zdjął dłonie z jej nogi. Jego bliskość była niepokojąca.

- Dzięki za... - przerwała nagle, bowiem Kurt ujął w dłonie jej twarz.

- Bardzo proszę - mruknął, składając na jej wargach delikatny pocałunek. Zanim zdążyła zareagować, cofnął usta. Wpatrywała się w niego z niekłamanym zdziwieniem. Nie wiedziała, co powiedzieć, ani jak się zachować. Pragnęła jedynie, żeby pocałunek trwał wiecznie.

- Zamknij usta - powiedział z uśmiechem. Andrea odwróciła się, chcąc ukryć zmieszanie i modliła się w duchu, żeby Kurt wstał i zajął się wypakowywaniem rzeczy na brzeg. Jej prośby nie zostały jednak wysłuchane.

- Wyglądasz jak straszdyło - zauważył, sadowiąc się wygodniej obok niej. - Gdzie twoja puderniczka?

Ręka Andrei powędrowała natychmiast do włosów. Wiedziała, że są matowe i potargane. Zresztą, cała była umazana czerwonym osadem, niesionym przez Kolorado głęboko wgryzającą się w podłoże.

Już miała otworzyć usta, szykując się do jakiejś ciętej riposty, gdy dostrzegła wesołe iskierki w jego oczach. Przekomarza się z nią! Próbowała rozniecić w sobie złość, ale na próżno.

- W torbie - rzuciła lekko. - O wygląd zadbam później, jeśli pozwolisz.

- Nie rób tego. Taka bardziej mi się podobasz.

- Zmęczona, mokra i pokryta mułem? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak.

- No cóż, są gusta i guściki. Twój toleruję tylko dlatego, że przeprowadziłeś mnie bezpiecznie przez te diabelne przełomy.

- Ależ te były łagodne jak jagniątko. Jeśli chcesz, możemy

wybrać się do wodospadu Lawa w połowie Kanionu. To największy próg na Kolorado. A jak twoja noga?

- Jeszcze pobolewa, ale tylko trochę.
- Zdążę więc dojść do siebie po twoim kopniaku.
- Nie kopnęłam cię, ale odsunęłam - sprostowała z uśmiechem. - Powinieneś był się odsunąć, kiedy prosiłam.
- A ludzie mówią, że jestem narwany.

Andrea postanowiła puścić tę uwagę mimo uszu. Znikło wcześniejsze napięcie i znowu czuła się swobodnie w towarzystwie Kurta. W milczeniu przyglądała się rzece i przepływającym co jakiś czas pontonom, których pasażerowie nie mogli otrząsnąć się z wrażenia po przeprawie przez Kwagunt.

- Dokąd dopłyniemy jutro? - zapytała Andrea, gdy pili kawę po obiedzie. - Jak szybko się przemieszczamy?

- Mamy całkiem niezły czas. Duże pontony motorowe mogą zrobić dziennie ponad sześćdziesiąt kilometrów i przemierzyć całą rzekę w ciągu tygodnia. My nie mamy takich możliwości, ale robimy około czterdziestu kilometrów dziennie. Jutro powinniśmy znaleźć się w Czworoboku Jasnego Anioła. Obok mostu wiszącego Kaibab jest przystań.

- Byłam już w tamtejszej stacji straży - przypomniała sobie Andrea.

- Tak, to jedna z największych. Zaopatrzymy się tam w świeżą wodę i żywność, i zastanowimy nad następnym etapem podróży.

- Jak dotąd ciągle nie udaje mi się zwiedzić ruin. Albo jesteśmy zbyt zmęczeni, albo pada.

Kurt zerknął na niebo.

- Wygląda na to, że pogoda się nie poprawi. Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy musieli odłożyć nie tylko zwiedzanie ruin, lecz także całą naszą wyprawę.

Najwyraźniej pali się do tego, pomyślała Andrea. Rozczarowaniu towarzyszyła jednak iskierka nadziei. Może Kurt poczuł się nagle niezręcznie w jej obecności? Może zastanawia się, czy warto badać okoliczności śmierci Sary? Jeszcze trochę i może zmieni zdanie.

Modliła się w duchu o ładną pogodę.

Wkrótce jednak spadł deszcz; opady utrzymywały się przez kilka następnych dni. Przemarznięta do szpiku kości Andrea milczała nieszczęśliwa. Zanim jeszcze dotarli do schroniska, wiedziała, że wyprawa jest zakończona. No cóż, przynajmniej nie będzie musiała przepływać obok miejsca, gdzie zginęła Sara Wolf.

- Dalszą podróż musimy na razie odłożyć - powiedział Kurt, gdy wnosili ponton i sprzęt do hangaru. Było późne deszczowe popołudnie. - Teraz nie możemy wypłynąć w dalszą podróż. Dokończymy szkolenia, gdy pogoda się poprawi.

Andrea miała nadzieję, że tak będzie w istocie. Tylko czy Kurt zdecyduje się na bliskie sam na sam po tym, co między nimi zaszło?

- Jutro wdrapiemy się na górę, a jeśli się nam poszczęści, wjedziemy tam z karawaną mułów - powiedział Kurt, gdy otulała się szczelniej deszczowcem. - Przy takiej pogodzie zawsze kilka osób rezygnuje.

Andrea pokiwała głową na znak, że go słyszy. Wstrząsały nią dreszcze i nie myślała teraz o mułach, ale o ciepłym posiłku, po którym mogłaby wziąć gorący prysznic i położyć się do łóżka. No i musi też zadzwonić. Pod wpływem tej myśli rozchmurzyła się trochę. Emilka wraz z rodziną jest pewnie na górze. Musi się z nią koniecznie porozumieć.

- Robi się późno - powiedział Kurt na widok zabudowań Phantom Ranch. - Jeżeli zaczniemy się przebierać, nie zdążymy nic zjeść. Proponuję, żebyśmy poszli najpierw do stołówki.

- Dobrze - odparła, marząc o filiżance mocnej, gorącej kawy.

Wdrapali się po schodach, zostawiając za sobą kałuże wody, która spływała z ich płaszczy i plecaków. W środku okazało się, że stołówka z powodu burzy świeci pustką.

Kurt zaczął studiować jadłospis, a tymczasem Andrea podeszła do stolika nieopodal bufetu, żeby zdjąć plecak i płaszcz. Nie zdążyła się rozebrać, kiedy usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu rozkosznym, piskliwym głosem.

- Emilka?

Dziewczynka rzuciła się w ramiona Andrei z charakterystyczną dla dzieci wylewnością.

- To ona, babciu, to ona! - krzyczała Emilka i podekscytowana uwolniła się szybko z objęć Andrei.

- Jest tu Andrea! Czy to twój instruktor? - zapytała na widok zbliżającego się Kurta. - Ten, o którym wspominałaś mi w liście?

- Tak - wtrącił Kurt. - Nazywam się Kurt Marlowe i jestem instruktorem Andrei.

- Cześć - powiedziała nieśmiało dziewczynka, unosząc wysoko głowę, żeby objąć wzrokiem górującą sylwetkę Kurta. - A ja jestem Emilka Jenkins.

- A to są rodzice i dziadkowie Emilki - dokonała prezentacji Andrea. Wymieniono stosowne formułki grzecznościowe i uściski rąk, po czym uwaga wszystkich skupiła się na Andrei.

- Czy państwo są może sąsiadami Andrei? - zapytał Kurt uprzejmie.

- Andrea wyniosła mnie, kiedy złamałam nogę - pośpieszyła z wyjaśnieniem dziewczynka, ubiegając dorosłych. - Poznałyśmy się w samolocie, który się rozbił.

Kurt ze zdziwieniem spojrział na Andreeę.

- Pan o tym nie wiedział, Emilko - wyjaśniła zakłopotana.

- Nie powiedziała mu pani o katastrofie? O tym, jak uratowała moją córkę? - zapytał z niedowierzaniem ojciec Emilki.

Wszystkie spojrzenia, nie wyłączając Kurta, spoczęły na Andrei.

- Przeżyłaś katastrofę?

- Tak, ubiegłej zimy w Denver. - Dziadek dziewczynki sięgnął do kieszeni i wyjął z portfela sfatygowany wycinek prasowy. Rozłożył go i pokazał Kurtowi. Zdjęcie przedstawiało Andreeę idącą bosą po śniegu z ranną Emilką na rękach. W tle widać było płonący kadłub samolotu. Pod wpływem nagłych wspomnień Andrea zamknęła oczy.

- Proszę mi wybaczyć, ale pójde już do siebie - wykrztusiła.

- Ale ja chcę być z tobą! - wykrzyknęła mała.

- Tylko się przebiorę. Dobrze, kochanie? - powiedziała z wyraźnym wysiłkiem i wyszła.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Tego samego wieczoru, kiedy Andrea miała rozbierać się do snu, rozległo się pukanie do drzwi.

- Andreo, to ja, Kurt. Czy mogę wejść? Niedawno z ulgą pożegnała gości, którzy zjawili się

w godzinę po jej nagłym wyjściu ze stołówki - tym razem na szczęście bez wycinków prasowych. Andrea cieszyła się z wizyty, choć nieustanne podziękowania i pochwały z ust rodziny dziewczynki wprawiały ją w zakłopotanie. Nie spodziewała się natomiast powtórnych odwiedzin Kurta. Zjawił się wraz z gośćmi i przyniósł jej kolację, wkrótce jednak wyszedł.

- Wejdź, proszę.

- Już późno. Czy jesteś... ubrana? - zapytał jeszcze zza drzwi.

- Tak, nie zdążyłam się jeszcze położyć. Dopiero wtedy wszedł do środka i zdjął deszczowiec.

Zaczekał, aż Andrea usiądzie na łóżku, po czym zajął jedyne w małym pomieszczeniu krzesło.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. Dlaczego miałabym czuć się źle?

- Kiedy się zjawili, wyskoczyłaś ze stołówki jak oparzona.

Pewnie nie najlepiej znosisz towarzystwo całej rodziny?

- Chyba tak - przyznała, podciągając nogi. - Jej rodziców poznałam w szpitalu w Denver, ale dziadków widziałam dzisiaj po raz pierwszy. Entuzjazm, z jakim mówili o uratowaniu przeze mnie Emilki... - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Trudno mi uwierzyć, że wciąż noszą przy sobie wycinki prasowe.

- Widok tych zdjęć pewnie bardzo cię wzburzył.

- To prawda - przyznała ze smutkiem. - Ale już wszystko w porządku.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- A czy ty rozpowiadasz o Sarze na prawo i lewo?

- Na pokładzie tego samolotu znajdowała się twoja przyjaciółka



Dee? - zapytał pod wpływem nagłego olśnienia.

- Tak.
- Powinnaś zastosować się do swojej rady i nie rozpamiętywać tego - powiedział z wyrazem współczucia na twarzy, siadając obok niej.
- Zwykle tego nie robię, ale te wycinki prasowe... - Nagle głos jej się załamał.
- Czy żałujesz, że przyjechali?
- Nie. Bardzo się cieszę ze spotkania z Emilką. Nie mogłam pomóc Dee, ale przynajmniej udało mi się pomóc temu dziecku. I innym - dodała z uśmiechem.

Kurt milczał chwilę, Andrea z napięciem czekała na jego słowa.

- Szkoda, że Sarze nie udało się uratować tych ludzi. Może wtedy jej śmierć nie wydawałaby się taka niepotrzebna.
  - Kurt, nie możesz opłakiwać bez końca kogoś, kto nie żyje.
  - Sądzisz zatem, że ja i moja córka powinniśmy zachowywać się, jak gdyby nic się nie stało? - zapytał z gniewem.
  - Nie. Ale myśl o życiu, a nie o śmierci. A jeśli nie możesz, to coś jest z tobą nie tak. Dlaczego wciąż obsesyjnie wracasz do śmierci Sary?
  - Mam nadzieję, że prawda pomoże Lynn, szczególnie kiedy będzie na tyle duża, żeby wszystko zrozumieć.
  - A tobie, Kurt? Czy pomoże także tobie?
- Nie odpowiedział. Wstał z łóżka i ruszył ku wyjściu.
- Życie jest takie cenne, Kurt, bez względu na tragedie, które przychodzi nam przeżyć. Nie możesz bez końca żyć przeszłością.
  - Nie żyję przeszłością - odparł oschle. - Dobranoc. Po jego wyjściu Andrei zrobiło się ciężko na sercu.

Tak bardzo jej na nim zależy, a i ona nie jest mu na pewno obojętna. Okazywał jej tyle troski, pocieszał w chwilach smutku; kupił nawet nowy kapelusz i przyniósł kolację. Zawsze jednak krążył -gdzieś w pobliżu Sary.

Padało jeszcze przez dwa dni. Do czasu poprawy pogody Kurtowi i Andrei wyznaczono obowiązki w stacji Jasnego Anioła.

Pracowali na zewnątrz w milczeniu; ulewny deszcz nie sprzyjał konwersacji. Andrea powitała to z ulgą. W czasie rozmowy Kurt czuł się wyraźnie zakłopotany, ona zaś przygnębiona. Deszcz przynajmniej pozwalał na refleksje.

Andrea uzmysłowiła sobie, że szczęście Kurta coraz bardziej leży jej na sercu. Uczucie, jakim go darzyła, było dla niej zupełnie nowe. Jednak za sprawą Sary nie mogła się do tego uczucia przyznać. Na razie musiała zadowolić się czekaniem.

- Gotowa do drogi? - zapytał Kurt, kiedy znowu mogli podjąć spływ Kolorado.

- Oczywiście - odparła.

Zepchnęli ponton na wodę. Po chwili wiosłowali już zgodnie w kierunku głównego nurtu.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie dzisiaj padało - powiedział Kurt, gdy ponton zaczął nabierać prędkości. - Choć te chmury nie wróżą nam najlepiej.

Gdy milczała, obejrzał się przez ramię.

- Powinnaś coś odpowiedzieć, na przykład: „Ja też mam taką nadzieję”.

- Ostatnio nie byłeś szczególnie rozmowny. Przeciwnie, wyraźnie mnie unikałeś. Nigdy nie sądziłam, że ktoś taki jak ty może być takim... - urwała.

- No?

- Takim tchórzem. Bać się mnie i w ogóle życia. Gdybym nie zobaczyła na własne oczy, nigdy bym w to nie uwierzyła.

- Na twoim miejscu zwracałbym więcej uwagi na wodę, a mniej na analizowanie mojego charakteru - powiedział szorstko Kurt. - Zbliżamy się do progu rzecznego.

- Jestem przygotowana.

- To dobrze, bo będziemy tam, zanim się obejrzysz. Kurt miał rację. Wkrótce otoczyła ich sycząca,

wściekle wirująca woda. W czasie przeprawy przez zdradliwe przełomy Andrea poczuła, że serce łomocze jej jak oszalałe. Gdy wreszcie wypłynęli na spokojne wody, czuła w sobie każdy nerw.

- W porządku? - zapytał Kurt.

Andrea skinęła głową, oddychając z trudem.

- Kierujemy się do brzegu. Muszę odpocząć, a i tobie to nie zaszkodzi.

Po kilku minutach Andrea stała już w miękkim, czerwonym mule przybrzeżnym. Z westchnieniem ulgi powitała stały grunt pod nogami.

- Rzeka jest bardziej wzburzona i porywista niż zwykle. Pewnie w tamie otworzyli śluzy z powodu opadów - zauważył Kurt, lustrując Kolorado z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

- Czy znowu odłożymy spływ?

- Myślę, że tak byłoby najrozsądniej, przynajmniej dopóki nie zamkną śluz w górze rzeki. Nie czuję się bezpiecznie, chyba że mielibyśmy któryś z tych większych pontonów silnikowych.

- A do tego czasu co będziemy robić? Rozbijemy obóz i poczekamy?

- Albo wrócimy szlakiem do stacji. Spróbuję dowiedzieć się przez radio, jak wygląda sytuacja na tamie Glen Kanion. Potem zadecydujemy.

Kurt otworzył hermetyczny pojemnik na amunicję i wydobył radiostację.

- Muszę wejść trochę wyżej. Tu są za duże zakłócenia. Poczekaj na mnie.

Andrea tymczasem postanowiła wyjąć ekspres do kawy i mały prymus. Marzyła, żeby napić się czegoś gorącego. Ledwie zdążyła znaleźć świeżą wodę i zapalki, kiedy dobiegło ją wołanie Kurta.

- Możesz dać sobie spokój - powiedział, schodząc do niej. - Nie ma czasu.

Zastygła w bezruchu, przerażona tonem jego głosu.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

- Człowiek w niebezpieczeństwie.

- Kto i gdzie? - zapytała.

- Rozbitek, kilka kilometrów stąd. Baza twierdzi, że ma roztrzaskany kajak i trzyma się jednej ze skał pośrodku rzeki.

- Jest ranny?
- Podobno. W tym miejscu rzeka gwałtownie opada i cała najeżona jest skałami. Z wyjątkiem superdoświadczonych kajakarzy wszyscy obchodzą je lądem.
- Czy możemy użyć helikopterów? - zapytała Andrea, zaniepokojona widokiem wzburzonej rzeki.
- Za duży wiatr - pokręcił głową Kurt.
- A patrol rzeczny?
- Płynęli właśnie na miejsce wypadku, ale musieli się zatrzymać. Wygląda na to, że Judy wypadła z pontonu.
- O nie! - zawołała Andrea, choć przyjęła tę wiadomość bez zdziwienia.
- A jednak. Dan właśnie zajmuje się ratowaniem swojej podopiecznej. Wygląda więc na to, że my musimy zająć się rozbitkiem.
- Ile nam zajmie dojście do tego miejsca? - zapytała, starając się zebrać odwagę.
- Nie nam, Andreo, lecz tobie.
- Działamy osobno? Przecież nie znam się na ratownictwie wodnym, a już na pewno nie wiem, jak przyjść z pomocą komuś, kto tkwi pośrodku przełomu!
- Nie oczekuję tego. Gdybyśmy jednak próbowali dotrzeć tam od strony brzegu, zajęłoby to prawie godzinę. Rozbitek może nie wytrzymać tak długo. Pontonem dotrę do niego w dziesięć minut.
- Przez wodospad? - zapytała, czując, że serce podchodzi jej do gardła.
- Poradzę sobie. Nie jestem amatorem. To, co prawda, trochę ryzykowne, ale chyba uda mi się na tyle do niego zbliżyć, żeby rzucić linę.
- Chyba postradałeś zmysły! - wykrzyknęła Andrea. - Przecież to bardzo niebezpieczna akcja. Powinieneś podchodzić od brzegu, przypięty liną!
- Możemy tak zrobić przy drugim podejściu. Teraz idź brzegiem, spotkamy się za wodospadem. Jeżeli mi się nie uda, będę czekał na

brzegu i ponowimy próbę.

- Jeśli wcześniej obydwaj nie utoniecie! Kurt, to zbyt ryzykowne!

- Nie, to szansa, której nie mogę przepuścić.

- Twoim obowiązkiem jest nie tylko chronić życie rozbitka, lecz także swoje własne!

- Nie chcę, żeby ten człowiek skończył jak Sara!

- Nie pomożesz mu jednak martwy! To wbrew wszystkiemu, czego mnie uczyłeś, Kurt!

- Uczyłem cię też, że ta praca niesie ryzyko. A teraz przepuść mnie.

- Czy tak właśnie zginęła Sara? - zapytała, nie ustępując mu z drogi. - Podejmując niepotrzebne ryzyko? Ta rzeka pełna jest wodospadów - ciągnęła, nie zważając na jego zaciśnięte usta. - Mówiłeś, że Sara zginęła przy jednym z nich. Może doszła do wniosku, że najlepiej obrać najkrótszą drogę bez względu na ryzyko?

- Ależ skąd! - Kurt nagle pobladł na twarzy.

- Wiedziała, że tak nie można robić. Sam jej to wielokrotnie powtarzałem.

- A więc stosuj się do własnych instrukcji!

- To ja je ustalam. Znam tą rzekę jak własną kieszeń!

- Nie pozwolę ci tego zrobić, Kurt! Pójdziemy brzegiem.

Będziemy razem ratować rozbitka.

- Nie. Moja decyzja jest nieodwołalna.

Miała wrażenie, że serce jej zamiera. Wiedziała, że będzie chciał postawić na swoim ale tym razem to ona ma rację!

- W porządku. Niech ci będzie.

Kurt wspiął się nieco wyżej i ogarnął rzekę uważnym spojrzeniem.

- Wyjmę tylko apteczkę - poprosiła.

Widząc, że skinął przyzwalająco głową, Andrea pośpieszyła do pontonu. Jednak zamiast po apteczkę, sięgnęła po wiosła; wyjęła je z dulek i rzuciła jak najdalej w wodę.

- A niech to szlag! - krzyknął Kurt, ruszając w jej stronę. Andrea

zdążyła także zapasowe wiosła cisnąć w nurt Kolorado. Pochwycone przez silny prąd, wkrótce zniknęły w odmętach.

- Ty cholerna idiotko! Czy wiesz, co zrobiłaś?

- zapytał, chwytając ją brutalnie za ramię i odwracając ku sobie.

- Oczywiście - odparła, unosząc hardo podbródek. Kurt potrząsnął ją mocno; jego oczy ciskały

błyskawice. Andrea wytrzymała i odwzajemniła spojrzenie.

- Puść mnie. Ten człowiek potrzebuje naszej pomocy. Marnujesz cenny czas.

- To przez ciebie! - warknął Kurt, ale puścił ją w końcu, zaciskając pięści. - W porządku, nie pozostawiłaś mi wyboru. Bierz wciągarkę, uprząż i ruszamy.

Po chwili posuwali się już w dół rzeki. Nie była to łatwa droga. Czasami piasek przybrzeżny zamieniał się w skałę; wtedy musieli przeskakiwać ostrożnie z jednego śliskiego głazu na drugi nad wściekle wzburzoną wodą. Wreszcie dotarli do stromego progu, gdzie Kolorado tworzyła rozhukany wodospad.

Zejscie nie było łatwe. Andrea, oślepiona rozpryskującą się wodą, opuszczała się bardzo powoli, szukając gorączkowo oparcia dla stóp. Jednak największy nawet wysiłek fizyczny był niczym w porównaniu z lękiem o Kurta. Strach pomyśleć, co by się z nim stało w tych szalejących odmętach.

- Widzisz go? - zawołał, przekrzykując szum wody. Potrząsnęła z zawstydzeniem głową; schodząc nawet nie pomyślała o rozbitku.

- Teraz go widzę, jest tam!

Pośrodku rozhukanego żywiołu widać było skrawek pomarańczowej kamizelki ratunkowej i biały kask.

- Czy pamiętasz, jak się z tym obchodzić? - zapytał Kurt, mocując uprząż do liny wciągarki.

- Tak.

Wziął linę i zbliżył się do spienionej wody.

- Uważaj na siebie! - krzyknęła.

Zamiast odpowiedzi uniósł kciuki do góry w uspokajającym geście i wszedł do wody.



Andrea powoli rozwijała linę, uważając, żeby się nie skrzyła ani nie zahaczyła o jakąś przeszkodę. Mimo niezwykle silnego prądu Kurt zdołał dotrzeć do miejsca, skąd miał najłatwiejszy dostęp do rozbitka, choć niewiele brakowało, a woda zepchnęłaby go poniżej skały, której uczepiony był mężczyzna.

Andrea z zapartym tchem śledziła każdy ruch Kurta. Uspokoila się dopiero, kiedy mężczyzna opasany był już uprzęzą i Kurt dał znać, żeby zaczęła nawijać linę.

Powoli, lecz systematycznie dwaj mężczyźni zbliżali się do brzegu. Gdy wreszcie dobrnęli na miejsce, Andrea pomogła Kurtowi w wyciąganiu rozbitka, który znalazłszy się na pewnym gruncie zamrugął gwałtownie oczyma i zemdlął.

- Ma złamaną nogę - powiedziała, zauważywszy deformację kończyny.

- Prawe ramię chyba też - dodał Kurt.

- Może ja się nim zajmę, a ty porozumiesz się z bazą - zaproponowała Andrea trzymając w ręku apteczkę. Choć Kurt był doświadczonym strażnikiem, lepiej od niego znała się na udzielaniu pierwszej pomocy. Na szczęście zdawał sobie z tego sprawę i nie protestował.

- Jeżeli nie możemy odtransportować go helikopterem, potrzebny nam będzie raczej ponton niż muły, ponieważ jest nieprzytomny. Nosze też nie wchodzą w grę, bo ma złamane kończyny.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecał Kurt. - Czy pomóc ci przy unieruchamianiu nogi?

- Nie, dziękuję. Przynies mi tylko ręczniki i koc.

- Dobrze.

Andrea działała szybko i fachowo; zanim wrócił Kurt, ranny był już opatrzony i gotowy do drogi.

- Pomoc zaraz tu będzie. Pomogą nam przetransportować rannego do stacji Jasnego Anioła.

- Czy mają nosze?

- Tak. Jest także dwóch strażników, którzy pomogą nam go

przenieść.

- Judy i Dan?

- Nie. O nich nie ma jeszcze żadnych wieści. Andrea przygryzła wargę, modląc się w duchu,

żeby koleżance nie przytrafiło się nic złego.

- Jak tam nasz pacjent?

- Wciąż nieprzytomny. Tętno ma jednak w normie i nie jest taki blady.

- Zostawiam go więc w twoich rękach i zajmę się zwijaniem pontonu. Dzięki strażnikom uda nam się przewieźć do stacji także nasz sprzęt. Tam dowiemy się, co z Judy.

Andrea otuliła szczerzej nieprzytomnego mężczyznę.

- Kolorado potrafi być okrutna, prawda?

Kurt spojrział na nią ostro, lecz nie skomentował jej uwagi.

- Czy to nie Earl? - zapytała, widząc nadchodzącą pomoc. - Ten, który wziął dla nas pocztę.

- Tak. - Kurt nie odezwał się już ani słowem, lecz patrzył na zbliżających się strażników.

- Przycumowaliśmy niedaleko stąd - oświadczył Earl. - W jakim stanie jest ranny? Można go przenosić?

- Sądzę, że tak - powiedziała Andrea, badając ponownie nieprzytomnemu puls.

Earl położył nosze tuż obok leżącego mężczyzny i we czworo przenieśli ostrożnie rannego.

- Jak to się stało?

- Przeprowadził się przez wodospad, który powinien był obejść. Podobnie zrobiła Sara, prawda, Earl?

- Nigdy tego nie powiedziałem. - Ton Earla nie pozostawiał jednak wątpliwości.

- Ale to prawda. Tak właśnie musiała zginąć. Nagle wszystko staje się zrozumiałe: milczenie twoje, Jima...

Wyraz twarzy Earla mówił za siebie.

- Ciekawe, dlaczego sam na to nie wpadłem?

- Jak się tego domyśliłeś? - zapytał Earl ze współczuciem. - Ktoś

ci w końcu powiedział?

Kurt potrząsnął głową.

- Przyszło mi to do głowy w związku z czymś, co powiedziała Andrea.

Andrea przyglądała się z niedowierzaniem obydwu mężczyznom; coś chwyciło ją za gardło na widok cierpienia Kurta. Już od pewnego czasu podejrzewała, że Sara zginęła w takich właśnie okolicznościach, mimo to ze zdziwieniem przyjęła, że jej podejrzenia okazały się słuszne.

- Przykro mi, Kurt - powiedział Earl.

Zapadła cisza; wszyscy czekali, aż Andrea przymocuje wreszcie nieprzytomnego do noszy.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, Earl?

- Partner Sary próbował przemówić jej do rozsądku. Niestety, bezskutecznie. Obejście wodospadu uznała za stratę czasu i nie mogąc przekonać o tym kolegi, popłynęła na miejsce wypadku sama.

- Co dalej?

- Spadek rzeki wynosi w tamtym miejscu ponad dwanaście metrów, pełno tam także skał i zwodniczych wirów - ciągnął niechętnie Earl. - Może ktoś taki jak ty poradziłby sobie. Sara nie miała jednak najmniejszych szans. Podobnie turyści.

- Postanowiliście więc ukryć przede mną prawdę? - zapytał z wyraźnym wysiłkiem Kurt.

- Postanowiliśmy oszczędzić bólu jej rodzinie - wyjaśnił Earl. - Jim sądził, że tak będzie lepiej dla jej rodziców, a szczególnie dla ciebie i Lynn. Lepiej, żebyście myśleli, że zginęła śmiercią bohaterską, a nie...

- A nie...?

- Bezsensowną.

Kurt zachwiał się lekko. Earl dotknął jego ramienia w pocieszającym geście, ale Kurt brutalnie odepchnął jego rękę. Chwycił za nosze z jednej strony i po chwili Earl poszedł w jego ślady. Andrea i drugi strażnik zabrali resztę sprzętu. Rozpoczęli żmudną wędrówkę do pontonu.

Gdy dopłynęli do lądowiska, skąd helikopter mógł zabrać

rannego, dowiedzieli się, że Judy jest cała i zdrowa, choć bardzo oszołomiona. Earl z kolegą przygotowywali się do wspinaczki na Południową Krawędź, a Kurt z Andreą mieli pozostać na dnie Kanionu i zgłosić się do najbliższej straży.

- W każdym razie chcę ci powiedzieć, że wszyscy niezwykle cenią cię jako instruktora - rzucił na koniec Earl. - Jediną osobą odpowiedzialną za śmierć Sary jest ona sama. Nie powinna podejmować takiego ryzyka.

Kurt milczał. Usiadł na skale i patrzył w ślad za oddalającymi się strażnikami. W końcu zostali z Andreą tylko we dwoje.

Andrea szukała gorączkowo jakichś słów pocieszenia, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Położyła mu więc dłoń na ramieniu. Kurt odwrócił się ku

- Śmieszne, co? Żeby żółtodziób w ciągu dwóch miesięcy dowiedział się tego, czego ja nie mogłem przez dwa lata. Pomyśl tylko, byłem jedyną osobą, która o tym nie wiedziała.

Andrea usiadła i objęła go za szyję. Przytuliła się do niego mocno, pamiętając, jak ją pocieszał, gdy opłakiwała Dee. Pragnęła odpłacić mu teraz tym samym.

- Tak mi przykro. - Przytuliła się policzkiem do jego włosów. - Nie wiedziałam, naprawdę. Ale nagle, gdy uparcie twierdziłeś, że musisz przeprowadzić się przez wodospad, okoliczności śmierci Sary wydały mi się jasne i po prostu powiedziałam to, co przyszło mi do głowy. Dlatego wyrzuciłam wiosła. Nie miałam pojęcia, że... Nie chciałam cię zranić.

- Nie mam do ciebie pretensji - powiedział. - Cieszę się, że wreszcie poznałem prawdę.

- Naprawdę?

- Tak. Zastępujemy na nią obydwój z Lynn, bez względu na ból, jaki z sobą niesie. Nie chcę, żeby życie mojej córki opierało się na kłamstwie. To byłoby także nie w porządku wobec Sary. Nie rób więc sobie żadnych wyrzutów. Powiedziałaś, że mi pomożesz i pomogłaś.

Andrea odetchnęła z ulgą. Zamknęła w dłoniach obie ręce Kurta.

- A teraz? - zapytała, gdy zniknęły u niego oznaki napięcia. - Co zamierzasz?

- Pojadę chyba na trochę do domu. Zajmę się Lynn. Porozmawiam z nią o jej matce, o szczęśliwych chwilach, które przeżyliśmy we trójkę. Przez długi czas nie potrafiłem z nikim rozmawiać o Sarze, nawet z Lynn - wyznał ze smutkiem w oczach. - Musi być świadoma tego, że Sara bardzo ją kochała - ciągnął. - A gdy dorośnie, musi wiedzieć, że jej matka jako strażnik parku pośpieszyła ludziom na pomoc, lecz źle oceniła swoje możliwości. Chcę, żeby dowiedziała się tego ode mnie.

- Nie będzie to łatwe - powiedziała Andrea przepełniona podziwem dla jego odwagi. - Łatwiej byłoby wierzyć, że Sara zginęła śmiercią bohaterską.

- To prawda, ale nie mam wyboru. Lynn musi poznać prawdziwą Sarę, kobietę, którą pokochałem. I pewien jestem, że jej matka pragnęłaby tego samego.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytała Andrea, myśląc z rozpaczą, że przyjdzie jej się z nim rozstać.

- Pewnie jutro. Poszukam kogoś, kto dokończy twojego szkolenia - odparł, wysuwając powoli dłoń z jej uścisku.

- Wolałabym poczekać na twój powrót.

- Nie - rzucił wstając.

- Ale...

- Powinniśmy już wracać do stacji i przyłączyć się do karawany. Muszę porozmawiać z Jimem.

- Oczywiście - zgodziła się Andrea, przypominając sobie nagle Judy. Nie podobała jej się jednak ta nagła zmiana tematu. Chciała porozmawiać z Kurtem o nich, o ich wzajemnym stosunku, o przyszłości. No, ale Judy jest w końcu jej przyjaciółką.

- Będziesz rozmawiał z Jimem o Judy, prawda? Chciałabym tylko powiedzieć, że bardzo się starała i może gdybyś to ty był jej instruktorem, a nie Dan...

- Ale ja nie mówię o Judy, Andreo.

- Nie? W takim razie... - przerwała tknięta nagle złym

przeczcuciem.

- To nie Judy odchodzi, lecz ja - wyjaśnił ponuro.

- Na dobre? - zapytała bezbarwnym głosem, czując, że drżą jej kolana. - Musisz?

- Mówiłem ci już, że rozważałem ofertę pracy w Phoenix. Teraz, kiedy znam okoliczności śmierci Sary, nic mnie tu nie trzyma.

- Dlaczego wybrałaś Phoenix, a nie Flagstaff? - zapytała próbując za wszelką cenę zachować spokój.

- W Phoenix mieszkają moi rodzice.

Jego wyjaśnienie miało sens, jednak ton wypowiedzi kazał jej powątpiewać w szczerłość Kurta.

- To prawda, ale Zespół Ochrony Środowiska Kanionu działa przecież we Flagstaff.

- Phoenix jest stolicą stanu. Również tam działa część Zespołu.

- Owszem, ale zajmuje się głównie uzyskiwaniem funduszy rządowych. A ty, o ile wiem, nie tym chcesz się zajmować.

- Istotnie.

- Powinieneś pracować we Flagstaff, nie w Phoenix - powiedziała z przekonaniem, podnosząc się powoli.

- Dlaczego więc to robisz, Kurt? Żeby stąd uciec? Milczał.

- Żeby uciec ode mnie? - jej głos załamał się.

- Daj spokój. Jedynym powodem, dla którego odchodzę, jest Lynn. Ty akurat niewiele masz wspólnego z moją decyzją.

- Nie wierzę ci! Boisz się tu zostać. Boisz się cieplejszych uczuć! Boisz się zależności. A ja budzę w tobie uczucia, prawda?

- Tylko gniew i frustrację, Andreo. Nic więcej.

- Kłamca. - Wyciągnęła rękę i objęła go delikatnie za szyję.

Dotknęła ustami jego warg i w głębi duszy wiedziała, że nie będzie się opierał.

I miała rację. Choć jego słowa przeczyły prawdzie, wyciągające się skwapliwie ramiona mówiły co innego. Jego pocałunek był równie szczery i namiętny jak jej. Wróżył wspaniałą przyszłość. Łączyło ich coś więcej niż tylko pociąg fizyczny. Byli bratnimi duszami, a raczej mogliby być, gdyby Kurt wydobył się z tego paraliżującego



odrętwienia.

To przez śmierć Sary. Andrea wiedziała, że mogłaby tchnąć w Kurta życie swą miłością, gdyby jej tylko na to pozwolił.

- Nie mogę, Andreo - powiedział, nagle odsuwając się od niej.

- Dlaczego? Z mojego powodu?

- Ze względu na Sarę. Ponieważ to ja jestem winien jej śmierci.

Gdybym wyszkolił ją lepiej, uświadomił jej... -Nagle jego głos się załamał. -Może byłaby dzisiaj wśród nas. Może po prostu nie nadaje się na instruktora.

- Naprawdę wierzysz w to, co mówisz? - zapytała z niedowierzaniem. - Czy może chcesz, żebym ja w to uwierzyła?

Wpatrywała się w niego z żalem i wyrzutem w oczach.

Pod wpływem oskarżycielskiego spojrzenia Andrei Kurt znowu próbował coś powiedzieć, ale pokręcił tylko głową i ruszył w kierunku szlaku.

Z ciężkim sercem Andrea podążyła jego śladem. Odrzucił coś niezwykle cennego.

Oboje dobrze o tym wiedzieli.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

- Jim, nie możesz przyjąć rezygnacji Kurta! Uczępił się idiotycznej myśli, że jest odpowiedzialny za śmierć Sary. Musimy go powstrzymać!

Andrea znajdowała się w biurze Jima Stevensa. Poszła tam zaraz za Kurtem.

- Rekomenduję cię na stanowisko strażnika parku - poinformował Kurt wychodząc. - Wiem, że twój staż nie dobiegł jeszcze końca, ale znam cię na tyle, by wiedzieć, że świetnie się nadajesz do tej pracy. Zaraz po moim odejściu Jim zorganizuje ci szkolenie na śmigłowcach.

- Jim, musimy przemówić mu do rozsądku - przekonywała Andrea. - Twierdzi, że dawał Sarze zły przykład, że to przez niego zginęła.

Jim wskazał jej ręką fotel, ale była zbyt zdenerwowana, żeby usiąść.

- Będąc strażnikiem podejmuje się ryzyko, Andreo. Im lepsza jesteś w swojej pracy, tym większe ryzyko podejmujesz. Sara była doskonale wyszkolona, nie znała jednak Kolorado tak doskonale jak Kurt. Źle obliczyła swoje siły i podjęła zbyt duże ryzyko.

- No właśnie - powitała z ulgą zrozumienie u Jima.

— Tylko Kurt patrzy na to inaczej. Musimy coś zrobić, żeby go odzyskać!

- Próbowałem mu to wyperswadować, ale obstaje przy swoim. Chce odejść. Na razie wysyłam go na urlop, ale to nie potrwa długo - powiedział wzruszając ramionami. - Potem będę musiał zastosować się do jego życzenia.

- Jak długo możesz odraczać jego rezygnację?

- Na pewno przez tydzień, może dwa, lecz nie dłużej.

- Mam jeszcze trochę czasu do końca stażu. Czy nie możesz nakłonić go, żeby został tu i dokończył szkolenia? Może uda mi się przemówić mu do rozsądku.

Jim potrząsnął głową.

- Zarekomendował cię na strażnika, wypełniłem już odpowiednie papierki. Szkolenie na śmigłowcach rozpocznesz...

Jim zerknął na grafik. Nagle na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, który Andrea od razu zrozumiała.

- Szkolenie zaczyna się dopiero za osiem dni. Co byś powiedziała na tydzień wolnego?

- Ale przecież nie przysługuje mi jeszcze urlop.

- To nie będzie urlop, lecz zadanie specjalne - oznajmił Jim, splatając ręce z zadowoleniem i opierając się wygodnie w fotelu. - Chcę, żebyś spędziła ten czas z Kurtem.

- Pozwolisz mi z nim pojechać? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Tak. Wyjeżdża po południu. Masz tydzień, żeby namówić go do powrotu. Potrzebujemy takich ludzi jak on. Nie mogę sobie pozwolić na jego utratę.

Ani ja, pomyślała w duchu.

Z torbą podróżną w ręku, Andrea pośpieszyła na prywatny parking straży parku. Żeby nie rozminąć się z Kurtem, postanowiła zająć pozycję przy jeepie. Nie musiała długo czekać.

- Nie powinnaś być przypadkiem w pracy?

- Skończyłam na dzisiaj - odparła, przyglądając się, jak załadowuje na tył wozu dwie walizki i wielkie kartonowe pudło. - Niewiele rzeczy jak na kogoś, kto rzuca pracę.

- Nie rzucam, lecz składam rezygnację, żeby zająć się córką - sprostował. - Zawsze podróżowałem z małym bagażem - dodał, zerkając na jej torbę. - Ty najwyraźniej także. Jedziesz w odwiedziny do domu?

- Nie - odparła i ku wyraźnemu zaskoczeniu swego rozmówcy postawiła torbę obok jego walizek.

- Jadę z tobą.

Kurt sięgnął do jeepa, chwycił torbę Andrei i postawił zdecydowanym ruchem obok jej stóp. - Nie pamiętam, żebyś cię zapraszał - rzucił bez ogródek.

- Bo nie zapraszałeś. Jim mnie wysłał. Szkolenie na śmigłowcach

zaczynam dopiero za tydzień. Mam więc siedem dni, żeby nakłonić cię do pozostania - wyjaśniła, po czym zdecydowanym ruchem włożyła torbę z powrotem do samochodu. - Możesz uważać to za misję specjalną.

- Jakim prawem wkraczasz w moje życie prywatne? - obruszył się Kurt.

- Jim kazał mi jechać z tobą, bo uważa, że popełniasz duży błąd. - Otworzyła drzwiczki i wsiadła do środka. - Tak się składa, że jestem tego samego zdania - dodała, przypinając się pasem. - A gdyby nawet było inaczej, powinieneś wiedzieć, że zawsze wypełniam polecenia przełożonych. Zrobię wszystko, żeby mój staż wypadł jak najlepiej.

- Nie mam czasu wysłuchiwać twojego pokrętnego rozumowania, wysiadaj.

- Będziesz mnie chyba musiał wyciągać siłą.

Przez chwilę wydawało się, jak gdyby Kurt rzeczywiście gotów był to zrobić, Andrea pozostała jednak niewzruszona. Wreszcie zatrzasnęła drzwiczki i zasiadł za kierownicą. Wyjechali z parkingu w milczeniu, które przerwali dopiero na głównej autostradzie do Phoenix.

- Trudno mi uwierzyć, że Jim naprawdę kazał ci ze mną jechać - powiedział ze złością Kurt. - Tracisz czas, nie zmienię zdania.

- Być może, ale muszę spróbować.

- Ponieważ ci kazał?

- Ponieważ uważam, że źle robisz rzucając pracę! Nie zamierzałeś jeszcze odchodzić, ale poznałeś okoliczności śmierci Sary. Miałeś poczekać, aż twoja córka zacznie szkołę, pamiętasz? Śmierć Sary nie jest przekonującym powodem, dla którego przerywasz szkolenie stażystów.

- Ależ jak najbardziej.

- Mylisz się! Przeprowadzasz się przez progi, przez które tylko niewielu strażników odważyłoby się przepłynąć. Pracujesz tu od dziesięciu lat i masz jak najlepsze kwalifikacje.

- Większość ludzi, włącznie z Sarą, nie powinna nigdy się na to porywać. Nie przypuszczałem, że zrobi to mimo moich ostrzeżeń, i to

sama.

- I z powodu śmierci Sary rezygnujesz z pracy, na której tak ci zależy i która jest ci potrzebna! Nie możesz tego zrobić!

- Zapominasz o mojej córce - odparował. - Ona mnie potrzebuje. I ja jej także.

- Potrzebna ci jest jako wymówka! Żeby stąd uciec! Słyszała, jak Kurt bierze głęboki oddech, żeby

opanować gniew, ale nie zamierzała ustępować.

- Mógłbyś przeprowadzić się do Flagstaff. Mają tam szkoły i świetlice, gdzie zajęliby się małą do twojego powrotu z pracy. Sam mówiłeś, że rodzice są już za starzy, żeby się zajmować Lynn. Nie masz żadnego rozsądnego powodu, który by uzasadniał tak daleką przeprowadzkę.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że z tym miejscem mogą się dla mnie wiązać przykre wspomnienia?

- Potrafisz chyba jednak sobie z nimi poradzić! - rzuciła kpiąco Andrea. - Po śmierci Sary przepracowałeś w Kanionie całe dwa lata! Zostawiłeś z tego powodu dziecko! Nie wmawiaj mi więc, że nagły przypływ uczuć rodzicielskich lub przykre wspomnienia zmuszają cię do nagłej ucieczki. To ty przecież nie chciałeś, żeby twoja córka wychowywała się na kłamstwie. Dlaczego nie dasz jej dobrego przykładu? Bądź ze sobą szczery!

Przez chwilę myślała, że posunęła się za daleko. Na twarzy Kurta pojawił się grymas złości, z całych sił zacisnął palce na kierownicy.

Przez pewien czas nie odzywali się do siebie ani słowem. W połowie drogi zatrzymali się na krótko w Sedonie. Kurt kupił benzynę i zaproponował obiad. Obydwoje nie mieli od rana nic w ustach, ale też nie czuli się głodni. Ruszyli więc do Phoenix i po jakimś czasie zaczęły się przed nimi wyłaniać pierwsze miejskie zabudowania.

- Wciąż jesteś na mnie zły? - spytała Andrea, zdobywając się na odwagę.

- Kiedy się zatrzymamy - powiedział po dłuższej chwili - chcę, żebyś zadzwoniła do Jima i powiedziała mu, że przyjechałaś ze mną

do Phoenix, ale nie udało ci się nakłonić mnie do powrotu. Nie będzie miał do ciebie o to pretensji. Wieczorem odjeżdża stąd autobus do Kanionu. Po drodze podrzucę cię na przystanek.

- Nie zamierzam wracać - odparła, nie dając po sobie poznać, jaką przykrość sprawiają jej te słowa. - Jim polecił mi zostać w Phoenix, więc zostanę.

Przynajmniej będzie miała okazję, żeby go znów zobaczyć. Kurt przecież jej nie odrzucił. I dopóki nie potwierdzi najgorszych przeczuć i nie powie, że opuszcza Kanion z jej powodu - a nie ze względu na córkę lub śmierć żony - jest jeszcze nadzieja. Tak łatwo nie da za wygraną.

- Wolałabym, żebyś wysadził mnie przy jakimś hotelu.

- Hotelu?

- Tak. Mam przecież trochę wolnego czasu, mogę więc go wykorzystać.

- Co zamierzasz robić?

- Nie wiem. Może trochę pozwiedzam - odparła z udawanym entuzjazmem.

- Z kim? Z dziadkiem Emilki? Nie masz samochodu.

- Sama. Mogę przecież kupić sobie mapę i wynająć jakiś wóz.

- Nie chcę, żebyś włóczyła się sama po obcym mieście - powiedział z marsową miną.

- Jestem już dorosła i świetnie sobie radzę bez niczyjej pomocy. Czuję się jednak zawiedziona. Miałam nadzieję poznać twoją rodzinę.

Kurt milczał. Andrea nie dawała za wygraną; nie pozwoli mu odejść z pracy - i od siebie - bez walki.

- Będę tutaj do końca przyszłego tygodnia. Może dacie się wszyscy zaprosić któregoś dnia na kolację?

- Nie musisz tego robić.

- Ale chcę. Chciałabym zwłaszcza poznać twoją córkę.

- Chciałabyś zobaczyć Lynn? - zapytał zdumiony, odwracając się od kierownicy.

- Co w tym dziwnego? Tyle o niej mówiłeś. Zazdroszczę ci.



Kurt znów skupił się na drodze.

- Szczęściarz ze mnie, że ją mam.
- Ona zaś na pewno myśli, że szczęściem jest mieć takiego ojca jak ty - odparła cicho Andrea.

Kurt obdarował ją jednym z rzadkich uśmiechów. Kiedy go odwzajemniła, miała wrażenie, że towarzyszące im do tej pory napięcie zaczęło znikać.

- Może zechciałabyś zjeść dzisiaj z nami kolację? Moi rodzice bardzo lubią gości.

- Nawet nie zapowiedzianych?
- Pewnie. Niewiele wychodzą.
- W takim razie będzie mi bardzo miło. Dziękuję, Kurt.

Do końca już jechali w milczeniu, tym razem jednak nie było ono kłopotliwe. Andrea znów była pełna nadziei. Może to, co do niego czuje, nie jest tak zupełnie jednostronne. Jest w Kurcie zakochana. I chce, żeby stał się częścią jej życia.

Kurt zjechał z autostrady na mniej ruchliwą podmiejską szosę. Andrea zauważyła ze zdziwieniem plantację cytrusów, których bujna zieleń kontrastowała z ubóstwem pustynnych kaktusów. Kurt poinformował ją, że jego rodzice mieszkają na północnym przedmieściu miasta, gdzie uprawia się grejpfruty i pomarańcze.

- Tata postanowił, że gdy przejdzie na emeryturę, będzie mieszkał na przedmieściu.
- A twoja mama?
- Mama zajmuje się hodowlą kaktusów, które potem sprzedaje. Wątpię, żeby kiedykolwiek na dobre się z tym rozstała. Nie lubi bezczynności.

Kurt zatrzymał się przed okazałym budynkiem w stylu hiszpańskim, pokrytym czerwoną dachówką. Po prawej stronie widać było niewielką szkółkę, a po lewej garaż.

Od strony szkółki zbliżała się do nich starsza, siwowłosa kobieta.

- To twoja mama? - domyśliła się Andrea.
- Tak. - Kurt otworzył drzwiczki i padł w ramiona matki, obdarzając ją czułym pocałunkiem. Andrea wysiadła niespiesznie i

rozejrzała się dookoła.

- Tak się cieszę, że przyjechałeś, Kurt. Chciałam do ciebie dzwonić, ale... - Pani Marlowe zauważyła nagle Andreę i urwała w pół słowa.

- Mamo, to jest Andrea Claybourne, koleżanka z pracy - dokonał prezentacji Kurt. - Czy coś się stało?

- Tak, twój dziadek jest bardzo chory.

- Poważnie chory?

- Na tyle, że ojciec wylatuje najbliższym samolotem. Chce, żebym mu towarzyszyła. Zrobiłabym to z chęcią, bo chciałabym zobaczyć się z dziadkiem. Wiesz, że ma już ponad pięćdziesiąt lat i jest dość słaby. Nie mam jednak z kim zostawić Lynn.

- W tej właśnie sprawie chciałaś do mnie zadzwonić? Pani Marlowe skinęła z przejęciem głową.

- Mogę zostać z Lynn tak długo jak chcesz, mamo.

- To świetnie - odparła siwowłosa pani z widoczną ulgą. - Ale co z pracą? No i przecież masz gościa. Nie wiem, czy powinnam cię tym obarczać.

- Jestem na urlopie, więc nie ma się czym martwić - odparł, ostrzegając wzrokiem Andreę, żeby nie zaprzeczała. - Pośpiesz się, mamo, a ja powiem tacie, że tu jestem.

Andreę zaproszono do domu. Kurt zniknął gdzieś, chcąc przywitać się z ojcem, a jego matka poszła się pakować. Andrea poczuła się trochę zagubiona wśród tej krzątaniny. Dla zabicia czasu podziwiała wystrój pokoju gościnnego, wtem usłyszała odgłos kroków.

- Kim jesteś?

Andrea ujrzała te same co u Kurta piwne oczy i taki sam odcień włosów - co prawda nieco dłuższych i skreconych w loki. Podobieństwo było tak uderzające, że od razu poznała córeczkę Kurta.

- Nazywam się Andrea. Jestem koleżanką twojego tatusia. Przywiózł mnie ze sobą.

- Tatuś tu jest? - Twarz dziewczynki rozjaśniła się nagle.

- Tak. Nikt ci o tym nie powiedział?

Lynn pokręciła energicznie głową, wprawiając w ruch loki.

- Dopiero się obudziłam. Miałyśmy z lalą obowiązkową drzemkę.

Andrea pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Ja także ucinałam sobie drzemkę z lalką.

- Chcesz zobaczyć moją?

- Owszem. Ale czy nie wolałabyś się najpierw przywitać z tatą?

Lynn przechyliła na bok główkę, nasłuchując uważnie.

- Tata jest na górze. Babcia zabrania mi tam samej wchodzić.

Mówi, że mogę narozrabiać.

- Często ci się to zdarza? - spytała Andrea, widząc chochlik w oczach dziecka.

- Czasami - odparła Lynn z szerokim uśmiechem. - Lubię bawić się kosmetykami babci. - To powiedziawszy zniknęła, biegnąc w głąb holu. - Zaraz wracam. Mój pokój jest na dole.

Kiedy Lynn wróciła, trzymała w rękach nie tylko lalkę, lecz także pudełko z kredkami do kolorowania.

- Lubisz rysować? - zapytała Andreeę.

- Kiedy byłam mała, należało to do moich ulubionych zajęć.

- Porysujesz ze mną?

- Z przyjemnością.

Lynn usadowiła się na dywanie naprzeciw stolika do kawy i rozłożyła swoje przybory. Andrea usiadła po turecku obok dziewczynki, która z zapalem wertowała książkę.

- Od której strony zaczniemy? - zapytała małą.

- Wybieraj - odparła Lynn, wręczając jej książkę.

- O, to ładny obrazek. Lubisz kucyki?

Lynn przyjrzała się uważnie rysunkowi, po czym skinęła głową. Podała Andrei kredki.

- Dziękuję, Lynn. Chyba pomaluję swojego na brązowo.

Lynn przyglądała się przez chwilę, jak Andrea koloruje obrazek, po czym wybrała kredkę dla siebie.

- Ja pomaluję swojego na amarantowo.

- Nigdy dotąd nie widziałam amarantowego kucyka.

- Mój jest taki na niby. Tata mówi, że wtedy można używać dowolnych kolorów.

- To prawda, kochanie.

- Tatuś!

Andrea poruszyła się nerwowo, zaskoczona obecnością Kurta. Ciekawe, jak długo im się przyglądał. Lynn skoczyła na równe nogi i rozrzucając kredki pobiegła w objęcia ojca. Ich powitanie było tak wzruszające, że Andrea poczuła się nagle jak intruz.

- Mam nadzieję, że Lynn nie zdążyła zamęczyć cię rysowaniem - powiedział, po czym podniósł córkę do góry i ku jej radości posadził na barana. - Uwielbia, jak się z nią rysuje.

- Ona też kolorowała książki, gdy była mała, tatusiu. Sama mi to mówiła.

- To prawda. Skończymy nasz rysunek, czy może wolisz pobyć z tatą?

- Jedno i drugie! - zawołała Lynn, kręcąc się z podniecenia. Kurt spuścił ją na podłogę. Po chwili dziewczynka siedziała przy Andrei i z zapalem malowała kucyka.

- Widzę, że zjawiłam się w nieodpowiednim momencie. Gdybyś mógł zadzwonić po taksówkę, pojechałabym już do hotelu.

- Wiem, że nadużywam twojej uprzejmości, ale czy mogłabyś zostać u nas jeszcze chwilę i zająć się Lynn? Chciałbym zawieźć rodziców na lotnisko, a Lynn nie najlepiej znosi jazdę samochodem.

- Robi mi się niedobrze - pośpieszyła z wyjaśnieniem dziewczynka.

- Ależ oczywiście. - Andrea uśmiechnęła się szeroko na widok następnego kucyka malowanego przez dziewczynkę, tym razem na zielono. - Cieszę się, że mogę w czymś pomóc.

Kurt uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

- Wrócę nie później niż za półtorej godziny. Aniołku, bądź dobra dla Andrei.

- Nie będę wchodziła na górę ani dotykała rzeczy babci - obiecała Lynn, nie odrywając wzroku od kartki.

- Poradzimy sobie. Przekaż rodzicom ukłony.

- Dziękuję. Muszę już lecieć, czekają na mnie w samochodzie. Po drodze przywiezę kolację.

- Jeśli nie zdążysz, mogę coś ugotować. Jedź ostrożnie - dodała, po czym wróciła do rysowania.

Andrea postanowiła popuścić wodze fantazji i pomalować drugiego kuczka na zjadliwy pomarańczowy kolor. Została za to nagrodzona przez Lynn pełnym aprobaty skinieniem głowy.

- Czy grzywę i ogon mam pomalować na czerwono, czy purpurowo?

- Zapytamy tatusia.

Andrea zauważyła ze zdziwieniem, że Kurt jeszcze nie odszedł, lecz przyglądał się im z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nie martw się, Kurt, będzie pod dobrą opieką.

- Jestem tego pewien. Bądź grzeczna, kochanie. Na razie, Andreo.

Kurt wrócił po dwóch godzinach. Przywiózł pieczonego kurczaka i kilka sałatek.

- Przepraszam, że trwało to tak długo, ale był straszny ruch na lotnisku i wściekła kolejka do parkingu.

- Nic nie szkodzi. Świetnie sobie radziłyśmy - zapewniła go Andrea.

- Spójrz, tatusiu! - Lynn zeskoczyła z kanapy, wyciągając z dumą rękę przed siebie. - Andrea pomalowała mi paznokcie. Są różowe.

Kurt przyjrzał im się uważnie.

- Wspaniałe - oświadczył.

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, Jeśli chcesz, przed wyjazdem zmyję lakier.

- Nie zawracałbym sobie tym głowy. Hej, ty ze wspaniałymi paznokciami! Może tak zaniósłabyś tego kurczaka do kuchni i nakryła do stołu. Dziś mamy papierowe talerze i plastikowe widelce.

- Czy mogą być napoje gazowane zamiast mleka?

- Dla nas napoje, dla ciebie mleko.

- Tatusiu! - zawołała nadąsana Lynn.

- Dostaniesz ode mnie kilka łyków, a teraz do roboty. Nie zapomnij o serwetkach.

- Nie zapomnę.

Kurt poczekał, aż Lynn wyjdzie z pokoju.

- Mama powiedziała, że nie będzie ich co najmniej przez tydzień, może nawet dłużej, jeśli stan dziadka się pogorszy. Czasami zapominam, że ma dziewięćdziesiąt jeden lat. Trudno się spodziewać, że będzie żył wiecznie.

- Może wyzdrowieje - powiedziała z nadzieją Andrea. - Będę trzymała kciuki.

- My też. Cieszę się, że przyjechałem w takiej chwili do domu. Przynajmniej się na coś przydałem, nie mogliby pojechać tam z Lynn.

- No tak. Szpital nie jest odpowiednim miejscem dla dzieci - przyznała Andrea. - Ona jest taka słodka, Kurt, i bardzo rozwinięta jak na swój wiek.

- Cieszę się, że tyle mówi w twojej obecności; zwykle wobec obcych zachowuje się z rezerwą. A skoro już mowa o Lynn, lepiej pójdę zobaczyć, jak sobie radzi. Cisza zwykle nie wróży nic dobrego.

Mimo choroby dziadka Kurta kolacja przebiegała bardzo wesoło. Lynn tryskała humorem i delektowała się rolą pani domu, obdarzając wszystkich uśmiechami i rozdzielając papierowe serwetki. Andrei udzielił się szampański humor dziewczynki.

- Lynn, naprawdę dziękuję za dodatkową porcję kurczaka - powiedziała na koniec. - Jestem najedzona po uszy.

- A ty? - zapytała Lynn, podsuwając pudełko Kurtowi. - Zostało skrzydełko i nóżka.

- Dziękuję, ale nie, kochanie. Zostawmy to na jutro. Teraz musimy posprzątać i przygotować się do spania. Już późno.

- Ale ja wcale nie czuję się zmęczona - protestowała Lynn. - Chciałabym jeszcze trochę pomalować.

- Nie - odparł kategorycznie Kurt. - Już pora spać. Lynn zrobiła nadąsaną minkę, ale ojciec pozostał nieugięty.

- No, chodźmy. Puszczę wodę do wanny i pomogę ci się rozebrać.



- Chcę, żeby zrobiła to Andrea!
- Andrea jest gościem, ja się tym zajmę.
- Chłopcy nie powinni patrzeć, jak się dziewczynki rozbierają.

Tak mówi babcia.

- Ale babci tu nie ma, Lynn. Mówiłem ci, że wyjechała na trochę. Musisz zadowolić się mną.

- Nie - obstawała przy swoim dziewczynka.

- Kurt, z przyjemnością jej pomogę - zaofiarowała się Andrea. W nagrodę poczuła w swej dłoni małą, lepka od tłuszczu rączkę. - Lynn pokaże mi, gdzie co jest.

- A ty pozmywaj - poleciła mała rozkazującym tonem, który tak był podobny do głosu Kurta, że Andrea nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Ma taki sam głos jak ty - zauważyła z rozbawieniem. - Nie martw się, poradzimy sobie.

I rzeczywiście. Po kwadransie Lynn już wykąpana i przebrana w czystą piżamkę leżała w łóżku.

- Zawołam tatę, żeby przyszedł pocałować cię na dobranoc.

- Jestem tu - powiedział Kurt, wchodząc do pokoju. Andrea wstała, żeby zrobić miejsce przy łóżku. - Czy zmówiłaś już pacierz? - zapytał.

- Pamiętałam o tym. -

Mądra dziewczynka. A teraz przytul tatusia i daj mu buziaka.

Lynn zarzuciła Kurtowi ramiona na szyję i rozległo się głośne cmoknięcie, po czym szepnęła mu coś na ucho. Spojrzał znacząco na Andreeę.

- Lynn pyta, czy pocałujesz ją na dobranoc. Andrea zarumieniła się, przyjemnie zaskoczona prośbą dziewczynki.

- Oczywiście. - Pochyliła się i pocałowała Lynn w czoło. Ku jej zaskoczeniu dziewczynka usiadła i uściskała ją serdecznie.

Delikatnie odwzajemniła uścisk.

- Czy przytulisz także moją lalę? - zapytała.

- Dobranoc, moje kochane. Kurt zapalił nocną lampkę.

- Pamiętaj, Lynn, nie będzie tu rano babci ani dziadka, ale ja

będę.

- A ty, Andreo?

- Ja... -Andrea przeniosła wzrok na Kurta i znowu spojrzała na Lynn. - Nie wiem. To zależy od twojego taty.

- Czy może zostać? - zapytała prosząco dziewczynka.

Kurt zerknął na Andreę z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

- Tak, Lynn - powiedział w końcu.

RS

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

- Lynn bardzo cię lubi - zauważył Kurt kilka dni później. Dziewczynka odbywała poobiednią drzemkę, a Kurt z Andrea sprząтали w pokoju gościnnym zarzuconym zabawkami małej.

- Ja też ją lubię, jest taka słodka - wyznała Andrea, chowając do pudełka kredki. - To jeden z nielicznych mankamentów nowej pracy, że nie ma kontaktów z dziećmi.

- Wielki Kanion to nie ogródek jordanowski - rzucił Kurt, omiatając krytycznym okiem pokój. - No, zabawki posprzątane. Chodźmy do szkółki.

Andrea skinęła głową. Minęło już kilka dni od wyjazdu rodziców Kurta. Nastąpił przyjemny podział zajęć: Andrea doglądała Lynn, a Kurt przygotowywał posiłki i zajmował się domem. Przed południem wychodzili z małą na spacer i odwiedzali po drodze plac zabaw. Po południu, w czasie drzemki dziewczynki, sprząтали w domu i doglądali kaktusów pani Marlowe.

Andrea uwielbiała obserwować Kurta, gdy pielęgnował rośliny. Wykazywał się tu taką sprawnością jak przy spływie Kolorado. Tego dnia, jak zwykle, Andrea miała pokłute całe palce. Nie zwracała na to jednak uwagi. Każda chwila spędzona z Kurtem była niezwykle cenna.

- Twoje ręce przypominają poduszeczki do igieł! - zauważył. - Mówiłem ci, żebyś nałożyła rękawice mamy.

- Tak też zrobiłam, ale igły przechodziły przez materiał. - Przyglądała się ponuro krwawiącym palcom. - Wiele się jeszcze chyba muszę nauczyć, jeśli chodzi o kaktusy.

- Idź do domu i przemyj ręce jakimś środkiem dezynfekującym. Ja tu wszystko dokończę.

- Za chwilę - odparła, biorąc do ręki rydel.

- Nie, teraz - nalegał Kurt. - Sam się zajmę kaktusami.

- Wiem - powiedziała Andrea i spojrzała na niego z taką miłością i tęsknotą w oczach, że ręka Kurta zastygła nieruchomo w

powietrzu.

- Andro, przestań - powiedział szorstko.
- Nie mogę - szepnęła.

Nagle narzędzia znalazły się na ziemi, a Kurt i Andrea padli sobie w ramiona. Kurt zmiął jej usta namiętnym pocałunkiem, poczuła jego ręce na plecach i we włosach.

Wśród szaleńczych pocałunków próbowała coś powiedzieć, ale nie pozwolił jej na słowa miłości. Raz po raz zakrywał jej usta wargami, aż w końcu zaniechała prób. Dopiero wtedy odsunął ją delikatnie od siebie. Przyglądali się sobie w milczeniu. Po chwili Kurt wyszedł, zostawiając ją samą wśród kaktusów.

Wrócił po pewnym czasie i do końca tygodnia ich rozmowy koncentrowały się głównie na Lynn. Kurt celowo unikał rozmów na poważniejsze tematy. Atmosfera stała się nieco napięta, ale Andrea nie zwracała na to uwagi. Pocieszała się, udając przed sobą, że są z Kurtem małżeństwem. Przyjemność, jaką czerpała z tych snów na jawie, skończyła się, gdy zdała sobie sprawę, że wkrótce przyjdzie im się rozstać.

Kurt osobiście powiadomił ją o tym trzy dni później.

- Lynn będzie za tobą tęskniła, gdy wyjedziesz - powiedział. Znowu pracowali w szkółce. - Nieczęsto ma okazję spotkać nowych ludzi. Cieszę się, że cię poznała.

- Twoi rodzice już wracają?
- Tak. Rozmawiałem z nimi wczoraj późno wieczorem, gdy już leżałem w łóżku. Mój dziadek ma się znacznie lepiej. Wypisano go nawet ze szpitala.
- Dobra nowina - wyduśliła z siebie Andrea. Kurt podniósł ostrożnie ostatnią sadzonkę kaktusa i zaczął wkładać ją do doniczki.
- W istocie.
- Co teraz zamierzasz?
- Zacząć pracę w Zespole Ochrony Środowiska. Najpierw jednak muszę znaleźć jakieś mieszkanie dla siebie i Lynn, najlepiej w pobliżu jej szkoły.
- Czy rozmawiałeś już o tym z rodzicami? - zapytała, próbując za

wszelką cenę zachować spokój.

- Nie, ale wkrótce to zrobię. Tata zostanie jeszcze trochę z dziadkiem, żeby zobaczyć, czy naprawdę wszystko w porządku, ale mama powinna przyjechać już za dwa dni.

Dwa dni? Czy to wszystko, co im pozostało?

- Innymi słowy, nie jestem już potrzebna.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie, ale to prawda. - Andrea odłożyła rydel i rękawice. -

Pozostaniemy w kontakcie?

Kurt nie miał gotowej odpowiedzi, co skwitowała westchnieniem.

- To śmieszne, prawda? Na początku naszej znajomości chciałeś się mnie pozbyć, na końcu jest podobnie.

- To nieprawda, Andreo! Bardzo ci jestem wdzięczny za pomoc przy Lynn. Nie możesz jednak spędzić tu reszty życia jako jej niańka. Czekają na ciebie praca. Masz własne życie.

- Miałam nadzieję, że staniesz się jego częścią. Ty i Lynn.

Kurt zbliżył się do Andrei. Ujął ją delikatnie za ramiona, szukając właściwych słów.

- Nie mogę powiedzieć, że mi to nie pochlebia, ba, nawet kusi. Nie chcę jednak zaczynać wszystkiego od nowa. Wiele przeszedłem po śmierci Sary. To wystarczy.

- Zawsze tylko Sara i Sara! - zawołała Andrea. - Nie możesz bez końca uciekać przed życiem z powodu śmierci żony! Ja tego nie robię. Dee zginęła na moich oczach, a jednak nigdy nie przestało mi zależeć na ludziach, tylko dlatego że jej śmierć sprawiła mi wiele bólu. Byłoby to wbrew temu, w co obie wierzyliśmy. Życie jest zbyt cenne! Ty, a raczej my, powinniśmy przeżyć je jak najpełniej. Razem.

Ze wstrzymanym oddechem czekała, jak Kurt zareaguje na jej wyznanie. Nie spełnił jednak jej nadziei.

- Nie mam siły, Andreo. Śmierć Sary wypaliła mnie do cna. Tego, co mam, ledwie wystarcza dla Lynn. - Wziął głęboki oddech i spojrzał Andrei w oczy. - Dla ciebie nie zostało już nic.

Andrea miała wrażenie, że coś w niej pęka i rozpada się na drobniutkie cząsteczki. Nagle czas stanął, a twarz, którą miała przed

oczywiście, zaczęła się zamazywać.

- Kochanie, nie patrz tak na mnie - powiedział z niepokojem, po czym ujął jej dłonie i zamknął w mocnym uścisku. - Próbowałem ci to ułatwić. Odchodzę z parku teraz, zamiast, jak planowałem, we wrześnie.

- Z powodu Lynn - zauważyła bezbarwnym głosem.

- Nie, zamierzałem pracować przez całe lato. Wtedy właśnie przybywa najwięcej turystów. Ale ty ledwie przyszedłaś do siebie po śmierci Dee. Nie chcę ci łamać serca.

- Po co ta komedia, Kurt? - powiedziała, czując że łzy spływają jej po policzkach. - Dlaczego udajesz, że to śmierć Dee lub Sary stoi pomiędzy nami? Dlaczego nie powiesz mi prawdy: „Nie chcę cię, Andrea”? Tak byłoby lepiej.

- Bo byłoby to wierutne kłamstwo.

Andrea podniosła ku niemu zdumione spojrzenie.

- Bardzo cię pragnę, Andrea - wyznał gwałtownie, po czym rozłożył ręce w bezradnym geście. - Ale temu uczuciu brakuje intensywności. Żyję, jakbym był owinięty grubym kokonem. Rozumiesz?

- Nie - odparła, ocierając policzki wierzchem dłoni. - Ale mimo wszystko cię pragnę.

- Wypadek Sary sprawił, że coś się ze mną stało. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę znów... sobą.

Poczuła, jak przejmuje ją lodowate zimno.

- Twój przyjazd tutaj niczego nie ułatwił - dodał wstając. - Im szybciej stąd odjedziesz, tym lepiej dla nas obojga.

- Kurt, ocaliłeś życie tylu ludziom! Nie możesz ocalić własnego?

- Próbowałem, Andrea - szepnął. - Bóg mi świadkiem.

I znowu poczuła, że coś chwyta ją za gardło. Przez chwilę, jedną okropną chwilę, miała wrażenie, że życie zamarło. W końcu wzięła głęboki oddech, a kiedy się odezwała, z trudem poznała swój głos.

- Nigdy z tego nie rezygnuj, Kurt. Dla dobra nas obojga.

Pani Marlowe przyjechała następnego dnia. Kurt przywiózł ją z lotniska, gdy Andrea zajmowała się Lynn. Starsza pani z



zadowoleniem poinformowała ich o poprawie zdrowia teścia. Z jeszcze większym zaś stwierdziła, że Lynn była pod znakomitą opieką. Andrea z wysiłkiem odpowiadała na pochwały. Marzyła tylko o jednym: żeby znaleźć się na lotnisku i odlecieć z Phoenix pierwszym samolotem.

Przebywanie pod jednym dachem z Kurtem stało się prawie nie do wytrzymania. Sprawiało nieznośny ból. Dlatego z niemałym wstrząsem przyjęła wiadomość, że Kurt chce ją odwiedzić.

- Odwiedzisz mnie? Ależ, Kurt, droga tam i z powrotem potrwa sześć godzin! Dlaczego nie podwiesz mnie po prostu na lotnisko?

- Muszę podpisać jeszcze kilka papierków. A nie chcę lecieć samolotem, bo zostawiłem jeszcze trochę rzeczy. - To powiedziawszy, wziął od Andrei torbę i załadował do jeepa.

Zawahała się przez chwilę. Nie miała ochoty na trzygodzinne sam na sam w samochodzie. O czym będą rozmawiać? Powiedzieli już sobie wszystko z wyjątkiem jednego. Kurt nigdy nie powiedział, że ją kocha. Ale to przecież tylko nierealne marzenie.

- Pozwól mi się odwiedzić, Andreo. Możemy włączyć radio, jeśli chcesz - powiedział cicho - i dać sobie spokój z rozmową.

Andrea przestąpiła z nogi na nogę. Czuła się niezręcznie, nie chciała wyjść na gbura, ale bliska obecność Kurta sprawiała jej ból. Miała właśnie odmówić i poprosić o przywołanie taksówki, kiedy zjawiała się Lynn, żeby się z nią pożegnać.

- Proszę - powiedziała, ofiarowując Andrei jedną z ulubionych książeczek do kolorowania. - Możesz korzystać z niej razem z tatusiem, gdy będziecie w pracy.

Nie miała innego wyboru jak podziękować Lynn, uściskać ją na pożegnanie i wsiąść do jeepa.

Zgodnie z przyrzeczeniem Kurt włączył radio i słuchali muzyki klasycznej nadawanej przez rozgłośnię z Phoenix. Muzyka symfoniczna wypełniła wnętrze samochodu, lecz po raz pierwszy Andrea pozostała nieczuła na piękno Mozarta. Rozmyślała o tym, jak puste stanie się życie bez Kurta. W końcu muzyka umilkła, gdy wjechali na teren górzysty. Na krętej autostradzie panował niewielki

ruch. Kurt próbował kilkakrotnie znaleźć inną stację, którą dałoby się odbierać, ale bez powodzenia.

- Kiedy zaczynasz szkolenie na śmigłowcach? - zapytał, kiedy cisza w samochodzie stała się nie do wytrzymania.

- Tuż po powrocie.

- Będziesz mogła podziwiać wspaniałe widoki, no i pracuje się w ściśle określonych godzinach. Helikoptery latają, dopóki jest jasno, nie będziesz więc musiała pracować do późna.

- Chyba tak - odparła bez specjalnego zainteresowania. Nie tęskniła do pracy bez Kurta.

- Nie zdradzasz wielkiego entuzjazmu - zauważył z naganą w głosie, przybierając ton instruktora.

- Myślę sobie właśnie, że pewnie nigdy już nie będę miała okazji, żeby zobaczyć ruiny indiańskie. - Ani ciebie, dodała w duchu.

- Nigdy nie udało nam się do nich dotrzeć, prawda?

- Nie... - Głos Andrei nagle się załamał i poczuła nieznośny ciężar na sercu. Tym razem ona zaczęła obracać gałkę radia w poszukiwaniu muzyki.

- Nie złapiemy nic aż do Sedony. A skoro już o Sedonie mowa, czy nie miałabyś może ochoty na kawę albo coś do jedzenia?

Wyłączyła radio i zmusiła się, żeby odpowiedzieć normalnym głosem.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna, ale możesz zatrzymać się, jeśli chcesz. - Jej uprzejma odpowiedź brzmiała równie sztywno i nienaturalnie jak jego propozycja.

- Może zmienisz zdanie, gdy tam dotrzemy.

To było nie do zniesienia. Ta zdawkowa wymiana zdań o podróży i jedzeniu okazała się ponad jej siły.

- Kurt...

- Słucham.

Na twarzy Andrei odmalowało się cierpienie i miłość. Kurt dotknął jej ramienia na chwilę, która okazała się niezwykle wymowna. Nie mogła dokończyć. Uznała, że lepiej będzie milczeć. Jeszcze trochę i gotowa się rozplakać jak dziecko, stawiając ich w

niezręcznej sytuacji.

Nie doczekawszy się końca zdania, Kurt przeniósł wzrok z powrotem na szosę. Przez dłuższy czas jechali w milczeniu; droga wiała się wśród porośniętych kaktusami skał i dolin. Co pewien czas mijali jakieś wolniejsze pojazdy, ale na ogół mieli drogę tylko dla siebie.

Andrea udawała, że podziwia widoki za oknem, a Kurt skoncentrował się na prowadzeniu. Właśnie zaczął wyprzedzać rozklekotanego starego pikapa.

- Och, spójrz tylko, czy nie są cudowne? - powiedziała, zapominając na chwilę o swoim cierpieniu. W odkrytym bagażniku siedziało troje bardzo śniadych dzieci o lśniących, czarnych czuprynach targanych powiewami wiatru.

- Nie można tak przewozić dzieci. Powinny jechać w środku przypięte pasami.

- Dwoje następnych siedzi obok kierowcy - zauważyła, nie odrywając wzroku od samochodu, który właśnie zaczęli wyprzedzać.

- Dla innych nie ma już w środku miejsca.

- Powinni więc kupić wóz, który pomieściłby całą rodzinę.

Jedno z dzieci zauważyło Andreeę i pomachało wesoło na powitanie. Andrea uśmiechnęła się i odwzajemniła gest, dopóki samochód nie zniknął jej z oczu.

- Sądząc po tym samochodzie, nie mają wiele pieniędzy.

Kurt zerknął w lusterko posyłając pikapowi niezadowolone spojrzenie.

A jednak zatrzymali się w Sedonie. Kurt chciał uzupełnić paliwo, jako że w miarę zbliżania się do Kanionu ceny stawały się astronomiczne. Andrea zmieniła zdanie i skusiła się na filiżankę kawy, która, oczywiście, przedłużyła się w obiad i minęła dobra godzina, zanim znowu znaleźli się w drodze.

Andrea spodziewała się milczącej jazdy wypełnionej muzyką country z rozgłośni Sedony. Dlatego z zaskoczeniem przyjęła słowa Kurta.

- Czy przyjedziesz jeszcze kiedyś do Phoenix?

- Nie myślałam o tym - odparła, starając się nie ulegać płonnej nadziei. - Niewiele chyba będę miała wolnego.
- Jeżeli by się jednak tak stało, odwiedź nas w nowym mieszkaniu. Wiem, że Lynn bardzo się ucieszy z twoich odwiedzin.
- A ty? - zaryzykowała.
- Ja też. Ale niczego nie obiecuję, Andreo. Musiała się tym zadowolić. Jeep jechał przez górzystą okolicę północnej Arizony. Na tym pustkowiu rzadko pojawiał się jakiś samochód, toteż od razu poznała rozklekotanego pikapa.
- O, jest ten samochód, który minęliśmy jakiś czas temu - zauważyła, przerywając trwającą od pół godziny ciszę. - Jedzie przed nami.
- Musieli nas wyprzedzić, gdy zatrzymaliśmy się w Sedonie.
- Mam nadzieję, że dzieciom nie jest zimno - powiedziała zmartwiona. - Nie mają na sobie nic ciepłego. To nie pustynia.
- Miejmy nadzieję, że mają za to dobre buty. Ten gruchot ledwie daje sobie radę na tym wzniesieniu. A co będzie na bardziej stromych odcinkach? Skończy się tak, że będą go musieli wpychać pod górę. Albo stoczą się w dół.
- Kurt, nie opowiadaj takich rzeczy - powiedziała, czując ciarki na plecach.
- Kurt gwałtownie zwolnił, żeby zachować bezpieczną odległość.
- Nie ma tu żadnego warsztatu w promieniu wielu kilometrów. Będę miał go na oku.
- Jeżeli zepsuje im się wóz, będziemy przynajmniej mogli podwieźć ich do najbliższego miasteczka.
- Oby nie. Nie byłoby czym oddychać, gdyby wsiadły tu wszystkie te dzieciaki.
- Nie zapominaj o... - Andrea chciała dodać „kierowcy”, ale nie zdążyła.

Górską ciszę przerwał nagle głośny wystrzał - pękła jedna z wysłużonych opon pikapa. Samochód zjechał na lewo, przeciął przeciwległy pas ruchu, po czym stoczył się z drogi. Przekoziółkował na bok ze strasznym odgłosem zgniatanego metalu. Andrea wydała

okrzyk przerażenia na widok dzieci wypadających ze skrzyni, które odbijały się od ziemi niczym szmaciane lalki, a po chwili leżały już bez ruchu. Samochód przekoziółkował jeszcze raz i wreszcie zatrzymał się, zahaczając o jakąś przeszkodę.

- Zatrzymaj się! -krzyknęła, ale Kurt już zwalniał.
- Wezwij pomoc przez radio - polecił.

Andrea zrobiła szybko, co kazał, i gdy odkładała mikrofon, parkowali już po drugiej stronie szosy.

- Ty zajmij się dziećmi, które są na zewnątrz
- rzucił wyskakując z jeepa. - A ja zajrzę do kabiny kierowcy.

Podbiegł do bagażnika, wyjął stamtąd apteczkę, którą następnie wręczył Andrei i pośpieszyli na miejsce wypadku.

Pierwsze dziecko znalazła prawie na samym dole, dwoje pozostałych leżało tuż obok. Dwójka dzieci była przytomna i wołała po hiszpańsku ojca.

Andrea nie wiedziała, na ile znają angielski, robiła jednak, co w jej mocy, żeby je uspokoić. Najstarsze dziecko odniosło poważne rany, które będą zapewne wymagały szwów, a może nawet operacji. Udało jej się zatamować krwawienie bandażami. Jedno z dzieci - mały chłopiec - straciło przytomność z powodu widocznego urazu głowy. Na szczęście źrenice reagowały na światło. Andrea udzieliła mu szybko pierwszej pomocy i pobiegła do ciężarówki.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytała łapiąc z trudem oddech.
- Samochód wklinował się w skały. Nie mogę przewrócić go na drugą stronę ani otworzyć tamtych drzwi. Są zablokowane.
- A co z pasażerami? - Andrea podeszła od strony silnika i zajrzała do środka przez przednią szybę. Mężczyzna i dwoje dzieci leżeli bez ruchu.
- Dzieci są nieprzytomne. Ojciec również.
- Wołałabym ich nie ruszać, dopóki nie przyjedzie pomoc.

Możemy mieć do czynienia z uszkodzeniem kręgosłupa.

Potrzebujemy desek ortopedycznych i kołnierzy; tu nie wystarczy apteczka kierowcy. Poczekajmy, proszę.

- Andreo, wiem, że znasz się na tym lepiej ode mnie, ale

naprawdę nie możemy czekać.

- Musimy! Nie chciałabym spowodować czyjegoś paraliżu, szczególnie u tych dzieci. I to przez pośpiech.

Kurt pokręcił głową.

- Powąchaj.

- Czuję benzynę - odparła z pobladłą nagle twarzą.

- Nie tylko my tankowaliśmy w Sedonie - zauważył ponuro Kurt. - Leje się strumieniem z baku. Jeżeli się zapali, nie zdołamy jej ugasić.

- Tylko nie to! Nie możemy ich tu zostawić, Kurt - powiedziała roztrzęsiona.

- Nie zostawimy. Czy dzieci są w bezpiecznej odległości, gdyby doszło do najgorszego?

Andrea skinęła głową, walcząc z ogarniającą ją paniką.

- W jakim są stanie? - zapytał, wdrapując się na szoferkę.

- U dziewczynek mamy skaleczenia i złamania, chłopiec zaś jest nieprzytomny z powodu urazu czaszki. Ale źrenice reagują.

- Dobrze i to. Dzięki Bogu, że nie jechał szybko.

- Kurt wyciągnął rękę i pomógł Andrei wdrapać się na szoferkę.

- Najpierw musimy wyciągnąć kierowcę, wtedy będziemy mogli dostać się do dzieci. Musimy zrobić to razem, to postawny mężczyzna. - Kurt położył się na brzuchu i zerknął przez boczne okienko. - Przynajmniej wszyscy są przypięci pasami. Przytrzymam go za nadgarstki, a ty odepnij. Nie chcę, żeby przygniótł dzieci.

- Oby tylko dało się go precyzyjnie przesuwać przez okno. Trzymasz go?

- Tak.

- Odpięty. Podtrzymuj go za kark - poleciała po chwili, gdy na wpół niosąc, na wpół ciągnąc, przemieszczali kierowcę w bezpieczne miejsce. Nawet tu czuć było benzynę.

- Nie krwawi i oddycha. To już nieźle. A teraz wynieśmy dzieci.

Podbiegli z powrotem do samochodu. Ledwie zdążyli wspiąć się na bok pojazdu, gdy z sykiem odskoczyła metalowa przykrywa.

- To tylko chłodnica - poinformował Kurt, ratując Andreeę przed upadkiem. Odsunęła jednak szybko jego ręce i wskoczyła przez okno



do szoferki.

- To znaczy, że silnik jest przegrzany i może iskrzyć. - Andrea niemalże zdarła pas z siedzącego pośrodku chłopca i podała dziecko Kurtowi. - Zabierz go i wynieś jak najdalej stąd! Samolot może eksplodować w każdej chwili.

Kurt zamarł i Andrea uświadomiła sobie przejęzyczenie.

- Miałam na myśli samochód...

- Tylko bez paniki - poleciał szorstko. - Dobrze się czujesz?

- Tak. Czuję się dobrze. Dobrze! Pośpiesz się, Kurt. Zobaczą, co z dziewczynką, a ty zabierz stąd chłopca.

Obrzucił ją badawczym wzrokiem i zniknął.

Andrea obejrzała dziewczynkę dokładnie i zadowolona z oględzin szybko odpięła pas. Był już właściwie niepotrzebny. Dziewczynka leżała na bocznej ścianie samochodu, która teraz zamieniła się w podłogę.

- No, kochanie, chodźmy stąd.

Ostrożnie uwolniła nóżkę dziecka spod zmiażdżonej deski rozdzielczej, po czym przeszła do drugiej kończyny. Lekkie pociągnięcie nie dało jednak żadnych rezultatów. Przesunęła więc rękę wzdłuż nogi i natrafiła na pogięty metal.

- O nie!

Andrea przykucnąwszy odsunęła się jak najdalej od dziewczynki i z całych sił pociągnęła za tablicę rozdzielczą. Niestety, bezskutecznie.

- Cholera! - Wciąż zmagala się, żeby uwolnić nogę dziecka, kiedy zjawił się Kurt.

- Co się stało?

- Noga się zaklinowała - poinformowała, wskazując na masę pogniecionego metalu. - Nie mogę jej stąd wydostać.

Kurt zaklął pod nosem.

- Może obydwójce damy radę. Posuń się, niech rzucę na to okiem.

Wśliznął się przez okno do środka i zaczął oglądać uważnie deskę rozdzielczą.

- Nieźle jest zaklinowana. Złap tutaj i ciągnijmy. Uważaj na



szkło. Gotowa? Raz, dwa, trzy!

Andrea napięła się z całej siły, ale ich wysiłki okazały się niewystarczające.

- Do licha! Nawet nie drgnęło.

- Musimy ją stąd wydostać! - powiedziała Andrea przenikliwym głosem, siłą powstrzymując panikę. - Coraz wyraźniej czuć benzynę. Za chwilę wszystko może wylecieć w powietrze!

- Potrzebne są narzędzia.

- Narzędzia? Ale skąd wziąć odpowiedni sprzęt? Nie jesteśmy przecież w pracy!

- Spokojnie, Andreo! Wymyślimy coś. Myślę, że zmieści się tu lewarek.

- Co?

- Lewarek! Możemy dzięki niemu podnieść deskę rozdzielczą.

- Dlaczego na to nie wpadłam? - zastanawiała się na głos

Andrea. - Kurt, może się udać. Zostanę z małą, a ty idź do samochodu.

- Nie. Chcę, żebyś to ty poszła - polecił. - Samochód jest otwarty. Pomogę ci się stąd wydostać.

- Nie, nie zostawię cię tu samego. To ty idź po lewarek. Biegasz szybciej ode mnie. Zostanę z dziewczynką. Nie zapominaj, że mam lepsze przygotowanie sanitarne.

- Andreo, nie wygłupiaj się! Ta ciężarówka może w każdej chwili wybuchnąć!

- Sam idź. Ja zostaję.

- W żadnym razie! - Pochwycił ją mocno w talii i jednym szybkim ruchem wystawił za okno. - A teraz biegnij co sił w nogach!

- Jeżeli coś się z tobą stanie... - powiedziała Andrea, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Poczowała, że drży na całym ciele i nagle zrozumiała słowa Kurta, który mówił, że po śmierci Sary czuł się pusty w środku. To samo stałoby się z nią, gdyby teraz zginął. W szeroko otwartych oczach Andrei pojawiło się przerażenie.

- Ruszaj się, Andreo!

- Kurt, błagam...

- Tracisz cenny czas! Czas, którego nie mamy! Ostatnia uwaga

trafiła jej wreszcie do przekonania.

Zeskoczyła z samochodu i pobiegła w stronę jeepa.

- Wasz tata i brat są bezpieczni. Zajmujemy się teraz waszą starszą siostrą! - zawołała do dzieci. - Zaraz wracam.

Bała się zatrzymać; bała się, że pikap eksploduje tak, jak niegdyś samolot. Bała się, że Kurt nie zdąży wynieść małej, że stanie się pozbawionym życia kształtem spowitym w białe prześcieradło, śmiertelną ofiarą...

Dotarła do jeepa. Rzuciła swoją torbę na ziemię i gorączkowo szukała lewarka. Wreszcie znalazła go i już po chwili biegła z powrotem do rozbitego samochodu. Straciła równowagę, ale nie przewróciła się; wypadł jej za to z ręki lewarek. Potoczył się w dół i wpadł w gęstwinę krzaków.

Andrea zmusiła się, żeby zejść po niego spokojnie. Przy krzakach uklęknęła i wtedy świat rozleciał się na tysiące kawałków. Zanim ognista kula zmieniła się w syczące płomienie, wiedziała, że z samochodu nic nie zostało. Wtedy zaczęła krzyczeć.

Wydała z siebie nieludzki krzyk, jak konający człowiek.

Usiadła na piętach i zamknęła oczy, nie chcąc dopuścić do siebie straszliwej rzeczywistości. Opanowała ją tak obezwładniająca rozpacz, że nie mogła się ruszyć ani zaczerpnąć tchu. Była jedynie świadoma utraty Kurta.

- Andree, Andree, otwórz oczy, kochanie!

Nie wierzyła własnym uszom. Znowu usłyszała swoje imię i znowu poczuła w sobie życie. Zaczerpnęła potężny haust powietrza, potem drugi.

- Kurt? - zapytała, otwierając oczy. - Czy to ty? Stał przed nią z dziewczynką na ręku. Całą twarz miał pokrytą pyłem. Pod rozerwaną koszulą widoczne było poranione ciało. Ale najważniejsze, że żyje. Kurt żyje!

- We własnej osobie - odparł równie drżącym głosem.

- Ale jak... - Wstała z wysiłkiem. - Jak się stamtąd wydostałeś?

- Coraz wyraźniej czułem benzynę. Bałem się, że wybuchnie. I z przerażeniem pomyślałem, że nigdy cię już nie zobaczę. - Na chwilę

zamilkł. - W końcu sam podniosłem deskę rozdzielczą.

Andrea wzdrygnęła się na wspomnienie skręconej masy żelastwa.

- Gołymi rękoma?

- Tak.

Przyjrzała się uważnie rękom, które teraz tak delikatnie trzymały dziewczynkę.

- Nawet się nie skaleczyłem - dodał z nikłym uśmiechem. - Czy możesz w to uwierzyć?

Zaczęła śmiać się i płakać na przemian, mając ochotę go uściskać i tańczyć z radości. Wiedziała jednak, że nie pora na to. Najpierw trzeba się zająć rannymi.

Wkrótce zjawiała się policja i karetka pogotowia; ugaszono pożar i wyniesiono na noszach rannych. Obrażenia Kurta okazały się niegroźne. Po jakimś czasie ekipy ratunkowe zaczęły się rozjeżdżać i została tylko jedna karetka.

- Jak się czujesz? - zapytała Kurta. Stali na poboczu, odpoczywając po niedawnych trudach, szczęśliwi, że wszystko się dobrze skończyło.

Uśmiechnął się i pochwycił ją w objęcia.

- Uważaj na oparzenia! - ostrzegła, tuląc się do niego.

- To drobiazg. Tylko kilka bąbli. - Pocałował ją w usta pocałunkiem nabrzmiałym od emocji, po czym przytulił mocno do siebie, chowając brodę w jej włosach. Andrea stała szczęśliwa, upojona jego widokiem, bliskością, dotykiem. Wciąż nie mogła uwierzyć w cudowne ocalenie Kurta.

- Miałaś rację - mruknął. - Miałaś we wszystkim rację.

- W czym?

- Że nie można się wiecznie ukrywać.

Andrea bała się, że znowu zobaczy w oczach Kurta wyraz cierpienia. Gdy jednak podniosła wzrok, spostrzegła ze zdziwieniem, że w miejsce rozpaczony pojawiło się ożywienie i radość.

- Kiedy nie chciałaś wyjść z ciężarówki, przestraszyłem się, że coś ci się stanie. Że skończysz jak Sara. Więc usunąłem cię stamtąd i wtedy...

- Co wtedy? - dopytywała się, przytulając go coraz mocniej.  
- I wtedy uświadomiłem sobie, że uciekałem nie tylko przed śmiercią, lecz także przed życiem. Życie jest takie cenne, a ja zmarnowałem tyle czasu. Mogłem dawać ci szczęście, a zamiast tego, jak skończony głupiec, przysparzałem tylko cierpień.

- Nie mów tak - powiedziała ze łzami szczęścia w oczach. - Śmierć Sary boleśnie cię dotknęła. Rozumiem to, Kurt. Wierz mi.

Ujął palcem jej podbródek i delikatnie uniósł do góry.

- Ty też przeżyłaś swoje, a jednak nie chowałaś głowy w piasek. Zaryzykowałaś. Postawiłaś na życie, na mnie.

- Nigdy się nie poddaję, jak przystało na byłą asystentkę pokładową.

- Nie, to coś więcej. Chciałbym spędzić resztę życia na odkrywaniu tego, co drzemie w twoim sercu. Jeżeli mi, oczywiście, pozwolisz.

Andrea nie trzymała Kurta w niepewności. Pociągnęła go ku sobie i pocałowała mocno w usta. Wiedział już bardzo dobrze, co chce mu powiedzieć.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

- Nie mogę wprost uwierzyć, mój drogi, że naprawdę chciałeś zrezygnować z pracy w Kanionie - grzmiała pani Marlowe, poprawiając synowi muszkę.

- Przecież nie zniósłbyś pracy za biurkiem.

- Tak, mamó - przyznał pokornie Kurt.

- Tylko mi nie potakuj! To najbardziej niedorzeczny pomysł, jaki w życiu słyszałam. Od lat powtarzałeś, że chciałbyś pracować nad ochroną środowiska Kanionu. Zamierzasz robić to z za biurka w Phoenix?

- Masz rację, mamó. Nie pomyślałem o tym. Andrea posłała Kurtowi pełne miłości spojrzenie

i przysłuchiwała się z rozbawieniem dalszej wymianie zdań pomiędzy matką i synem. Teraz wiedziała, skąd pochodzi apodyktyczność Kurta.

Minęły już dwa tygodnie od czasu wypadku samochodowego. Dwa tygodnie, odkąd Kurt przestał mówić o Sarze i stał się zupełnie innym człowiekiem. Postanowił wrócić do pracy w Kanionie i poprosił Andreę o rękę.

Andrea dobrze pamiętała jego słowa.

- Muszę zająć się Lynn. Jeśli o to chodzi, nic się nie zmieniło. Zbyt długo odgrywałem rolę niedzielnego tatusia.

Leżeli z Kurtem w ubraniach na hotelowym łóżku w Sedonie. Mieli złożyć na policji zeznania w charakterze świadków. Później Andrea zaproponowała, żeby zatrzymali się w miasteczku. Padała ze zmęczenia, a Kurt był w jeszcze gorszym stanie. Nie chciała, żeby usiadł za kierownicą. Zatrzymają się tu na trochę, a przy okazji zobaczą, jak czują się poszkodowani.

- Mimo całej miłości do ciebie muszę w moich planach uwzględnić córkę. Nie mogę uchylać się od obowiązków.

- A więc mnie kochasz - powiedziała Andrea z błogim westchnieniem. - Od dawna chciałam to usłyszeć.

Kurt położył ją na sobie i złożył na jej ustach długi pocałunek.

- A ja od dawna chciałem to powiedzieć. Po śmierci Sary wydawało mi się jednak, że nie mam odwagi kochać.

- A teraz masz? - zapytała, chcąc wreszcie usłyszeć jasną odpowiedź.

- Tak.

Znów westchnęła z ulgą, obsypana delikatnymi pocałunkami Kurta.

- W moim sercu zawsze będzie miejsce dla Sary i jakaś część mnie zawsze będzie ją opłakiwać, zwłaszcza ze względu na Lynn. Ale życie toczy się dalej. Nie chcę dłużej żyć wspomnieniami. Pragnę przyszości z tobą.

- I z Lynn - dodała Andrea, zanurzając palce w jego włosach. — Chciałabym być dla niej jak prawdziwa matka. Jest na tyle mała, że może mnie zaakceptować. Zrobiliśmy chyba dobry początek w czasie tamtego tygodnia u twoich rodziców.

- Mówisz poważnie? - zapytał ze zdziwieniem.

- Oczywiście. Zawsze lubiłam dzieci, a Lynn będę kochała, bo jest twoją córką. - I tak było naprawdę.

- Pracując na helikopterach, będę miała stałe godziny pracy. Mogę więc zajmować się Lynn, gdy wróci ze szkoły. Będziemy prawdziwą rodziną, wszyscy troje.

- A kto wie, może nas z czasem przybędzie... W oczach Kurta zapaliły się ciepłe ogniki.

- Nie kuś mnie, Andreo - powiedział potrząsając głową. - Bo jeszcze przyłączę się do Zespołu Ochrony Środowiska we Flagstaff zamiast w Phoenix. Nie oczekuję od ciebie takiego poświęcenia.

- Jakiego poświęcenia? Nie wygłupiaj się. Kocham Lynn i kocham ciebie. - Pocałowała go w czoło na poparcie prawdziwości swych słów. - Byłbyś nieszczęśliwy siedząc przy biurku. Jeżeli tak bardzo chcesz zajmować się córką, dlaczego nie przerwiesz się na helikoptery? Kiedy znajdziemy się już we Flagstaff, oczywiście.

- W pełnym wymiarze godzinowym?

- Dlaczego nie? To praca instruktora i ratownika rzecznego



pochłania tak wiele godzin. Jako pilot zjawiałbyś się w domu tuż po zachodzie słońca.

- No i postarałbym się, żeby na pokładzie u mego boku znalazła się pewna świeżo upieczona strażniczka. W końcu ranga daje pewne przywileje.

- Kurt, wiesz, jak bardzo chciałabym z tobą pracować. Ale myślę, że powinienesz robić to, co do tej pory. Nieść pomoc ludziom. W tym jesteś najlepszy. Ja nie uratowałam tej dziewczynki. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy użyć narzędzi samochodowych.

- Wpadłabyś na to na pewno.

- Być może - przyznała z uśmiechem - ale nie dość szybko. A już na pewno nie dałabym rady wyciągnąć jej z samochodu. A przecież na miejscu tej dziewczynki mogła znaleźć się Lynn lub Emilka. Wiem, że praca nad ochroną środowiska jest ważna, ale równie ważne jest to, co robisz teraz. Nie chcę więc już słyszeć o zmianie pracy.

- Nie wiem, kto jest gorszy: ty, Jim czy moja mama - powiedział Kurt, opierając się na łokciu i posyłając Andrei pełne miłości spojrzenie.

- Dzięki nam nie udało ci się odejść.

- Czy przynajmniej pozwolisz mi się porządnie oświadczyć? Czy może i to masz już z góry obmyślane?

- Kurt, nie przekomarzaj się ze mną - powiedziała speszona. Dopiero po chwili dostrzegła wesołe iskierki w jego oczach.

- Kiedy się dobrze zastanowić, twoje pomysły nie są wcale takie złe. To ty poprosiłaś o pokój dwuosobowy. Pewnie zechcesz mnie uwieść, a rano będziesz odgrywała niewiniątko. Na co zresztą przystałbym z ochotą - dodał. - No więc jak, zgoda?

Andrea poczuła przyspieszone bicie serca. Był w doskonałym humorze. Po raz pierwszy widziała go takim. Zniknął stary Kurt - napięty, przygnieciony ciężarem tragedii. Miała przed sobą rozluźnionego i pełnego radości mężczyznę.

- Na co? - zapytała, powstrzymując łzy szczęścia. - Żebym cię uwiodła czy wyszła za ciebie za mąż?

- Jedno i drugie, kochana, jedno i drugie - odparł śmiejąc się

radośnie.

Tę chwilę zapamięta do końca życia. Kiedy usta Kurta dotknęły jej warg, wiedziała, że wszystko będzie dobrze...

Teraz stała w sukni ślubnej i przysłuchiwała się, jak pani Marlowe beszta syna. Wreszcie wiązanie zostało poprawione zgodnie z życzeniem przyszłej teściowej, dopełniając formalnego stroju pana młodego. Jednak nawet ponury smoking nie był w stanie nadać Kurtowi poważnego wyglądu.

- Co za pomysł, żeby spędzać miesiąc miodowy w jakichś starych ruinach. Wszyscy jeżdżą na Hawaje lub nad Niagarę - utyskiwała pani Marlowe.

- Ale Niagara jest jedna, mamo, a Hawaje to tylko siedem wysp. Arizona zaś ma tysiące stanowisk archeologicznych. Musiałem zadbać, żeby Andrea się nie nudziła.

Namiętne spojrzenie, które posłał pannie młodej, dobitnie świadczyło o tym, że na pewno nie będzie uskarżała się na nudę. Andrea spłonęła rumieńcem, ale dzielnie wytrzymała wzrok Kurta. Pani Marlowe natomiast zakasłała, żeby pokryć zmieszanie.

- Uhm, rozumiem. Nigdy jednak nie zdołam pojąć, dlaczego uparłeś się, żeby ślub odbył się przed kościołem - ciągnęła. Kurt tymczasem zdążył się już od niej uwolnić i pochwycił Andreę w ramiona. - Nigdy nie zrozumieję, jakim cudem zdołałeś nakłonić do przyjazdu rodziców Andrei, mimo takich zwariowanych pomysłów.

- Ale przecież pastor będzie obecny - odparł Kurt, skupiając całą uwagę na pannie młodej.

Andrea drżała pod wpływem dotyku jego palców, gdy poprawiał zadarty przez wiatr welon. Długa suknia szeleściła wokół kostek, kołysana łagodnym powiewem.

- No i mamy to. - Kurt wskazał w stronę Wielkiego Kanionu, który tworzył wspaniałą oprawę dla ceremonii ślubnej. Bezchmurne niebo miało barwę czystego błękitu, a słońce świeciło niezwykłym blaskiem, który w przekonaniu Andrei przeznaczony był tylko dla nich.

- Nie w mówisz mi, że może być bardziej odpowiednie miejsce

do zaślubin.

Pani Marlowe objęła wzrokiem majestatyczny widok, który się przed nią rozpościerał, po czym przeniosła spojrzenie na syna. Zapewne do ustępstwa skłonił ją wyraz szczęścia na jego twarzy.

- Chyba masz rację. Chodź, Lynn, musimy zająć miejsca.

Lynn podeszła nieśmiało do Emilki, z którą razem miały nieść welon. Kurt uśmiechnął się, widząc, że trzymają się za ręce.

Pastor dał znak młodej parze, żeby podeszła.

- Chwileczkę - powiedziała nagle Andrea. - Gdzie się podział Jim?

< - Jestem tutaj! - zawołał.

- A to co takiego? - zapytała pani Marlowe.

Jim prowadził młodego osła, którego szyja przybrana była girlandą świeżych goździków.

- Prezent ślubny, oczywiście. Nieczęsto się zdarza, żeby mój najtwardszy strażnik rozczulał się nad osłem. Masz go, Kurt, odchowany i zdrowy, tak jak chciałeś - powiedział, wręczając wodze.  
- Należy do ciebie. Andrea zwróciła się zdumiona w stronę przyszłego męża.

- Nie róbcie tylko ze mnie mięczaka! - protestował Kurt zakłopotany. - Pomyślałem sobie, że Lynn przyda się trochę wprawy przed pierwszą przejażdżką na mułach w Kanionie. To wszystko - wyjaśnił pośpiesznie, zanim Andrea zdążyła się odezwać.

- A więc ze względu na Lynn bardzo ci dziękuję - powiedziała, całując go w policzek.

- Hej, to mnie powinnaś podziękować - upominał się ze śmiechem Jim.

- Wybij to sobie z głowy, Jim - powiedział Kurt, nie odrywając wzroku od Andrei.

- Czy naprawdę jest mój, tatusiu? - zapytał Lynn, ciągnąc go za rękaw, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Ja też chcę osiołka - dopominała się Emilka.

- Błagam, mamusiu, Lynn przecież dostała!

- No i widzisz, co narobiłeś, synu - jęknęła pani Marlowe.

- Czy mam wymyślić mu imię?

Osiół podniósł wzrok, jakby wiedział, że jest tematem rozmowy, po czym odkręcił łeb i spokojnie zaczął zjadać goździk.

- Ja też chcę mieć osiołka na ślubie - dopominała się Emilka ku wesołości zebranych. Wyjątek stanowiła pani Marlowe.

- Osły nie są nieodłączną częścią podobnych uroczystości - stwierdziła trzeźwo.

- Nie zgadzam się - powiedziała Andrea głaszcząc delikatny pysk zwierzęcia. - Jego widok sprawia mi dużą radość i przypomina, ile się zmieniło od dnia, gdy go znaleźliśmy. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo do Kurta. - Tak, jego miejsce jest tutaj.

Pani Marlowe przeniosła wzrok z Andrei na syna, pokręciła głową z pełną rozbawienia rezygnacją i nie odezwała się już ani słowem.

- Weź go, Jim - poprosił Kurt. - Dziewczynki, trzymajcie się z dala od osła, przynajmniej podczas uroczystości. - Podał wodze Jimowi, po czym ujął w dłonie twarz Andrei.

- Jesteśmy gotowi, kochanie?

- Tak - odparła promieniejąc radością. - Ja jestem gotowa już od bardzo dawna. I taka szczęśliwa, że mogę trochę poczekać.

- A ja czekać nie zamierzam. - Kurt objął ją ramieniem. W oddali widać było bajeczne kolory Kanionu i srebrzącą się Kolorado. - Kocham cię, Andreo.

Serce Andrei przepełniło się szczęściem. Jej wzrok mówił to, czego nie zdołały wypowiedzieć usta. Pastor otworzył modlitewnik i odchrząknął znacząco. Rodzina i przyjaciele podeszli bliżej. Małe paluszki Lynn wsunęły się w lewą rękę panny młodej, prawą miała zamkniętą w mocnej dłoni ojca.

Andrea uśmiechnęła się promiennie i oparła głowę na ramieniu Kurta.

- Drodzy nowożeńcy...